

odgłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI

Rok III. ŁÓDŹ. 11 grudnia 1960 r.
Nr 49 (145) Cena 1 zł

KONRAD FREJDLICH

MIASTO po dwu stronach TORU



1.
Jeśli się stanie na przejeździe tak, że twarz jest zwrócona w stronę Łodzi, to po jednej i drugiej stronie jest to samo Radomsko. Po prawej wyrosły nowe bloki w śródmieściu i buduje się następne, a po lewej stanęły zgrabne domki jednorodzinne, bloki, i fabryka „gigant”, jak tutaj mówią. Największa w Europie Fabryka Mebli Giętych. Węć niby wszystko tak samo i nie ma żadnej granicy. Ludzie przechodzą przejazd, ten i ów zaklinie, jak mu szlaban spuszcza przed nosem, i prosto do fabryki. „Fameg” jest nieco w dole, ogrodzony płotem z cienkiego betonu. Setki hal fabrycznych krytych szkłem dziesiątki składów na surowiec, syrena rano i w obiad. A tuż za zakładem zaczynają się pola K-walowca, zaraz za nimi — drewniaki trzysta osiemnaście małych domków Wszystkie podobne do siebie, bo stare.
— Wisielnica stała tu, jak ten kościółek — mężczyzna najpierw zsiada z roweru, ale potem się rozmyśla. Szkoda żelówek na stanie w tym błocie.
Kiedyś wozili tędy skazanych na śmierć. Godzili chłopca, kazali się wieść pod „więzień”, a potem już prosto na kowalowieckie pola. Powiesili, zakopali, jeszcze na posterunek, a potem wracaj choćby na targ, jak po czymś takim potrafisz. Na polach, gdzie pod szubienicą pasły się krowy wyrósł wkrótce mały cementarzyk.
W niecałe dziesięć lat po

pierwszej wojnie wyroki przestano wykonywać. Chłopi ze Stobiecka, którzy sasiadowali z Kowalowcem, odetchnęli i właśnie wtedy na pięć lat przed drugą wojną Rada Miejska postanowiła pozbyć się bezrobotnych. Kowalowieckie pola nadawały się doskonale, bo do śródmieścia spory kawałek, bagna i torfowiska po drodze. Chłopi jak się o tym dowiedzieli, poszli z kamieniami pod magistrat, ale nie pomogło. W trzydziestym piątym bezrobotni objęli w co rok odnawianą dzierzawę, trzystametrowe działki i pokopali lepianki w gliniastej glebie. Latem to było dobre, ale jesienią woda wszystkie podmyła i glina waliła się na łeb. Ci, co potrafili dobytek, zaczęli budować na nowo przed zimą, ale nie o-

było się bez paru pogrzebów. Jakubczyk, zwolniony z pracy, nigdy już jej nie podjął. Ci, którym jednak udało się gdzieś zacząć, wybudowali sobie małe domki, podobne do szop drewnianych. Większość z nich ocalała do dziś.
Bo z właścicielami to różnie bywało. Wielu wyniosło

Dalszy ciąg
na str.
8



Hanna Bedryńska w roli Delfiny Połockiej. Recenzję z „Albumu jednoaktówek” czytaj na str. 7

ZBIGNIEW SIEMIŃSKI

ROZBRAT
duszy
z ciałem

prostaty
140.000
Kregostyp

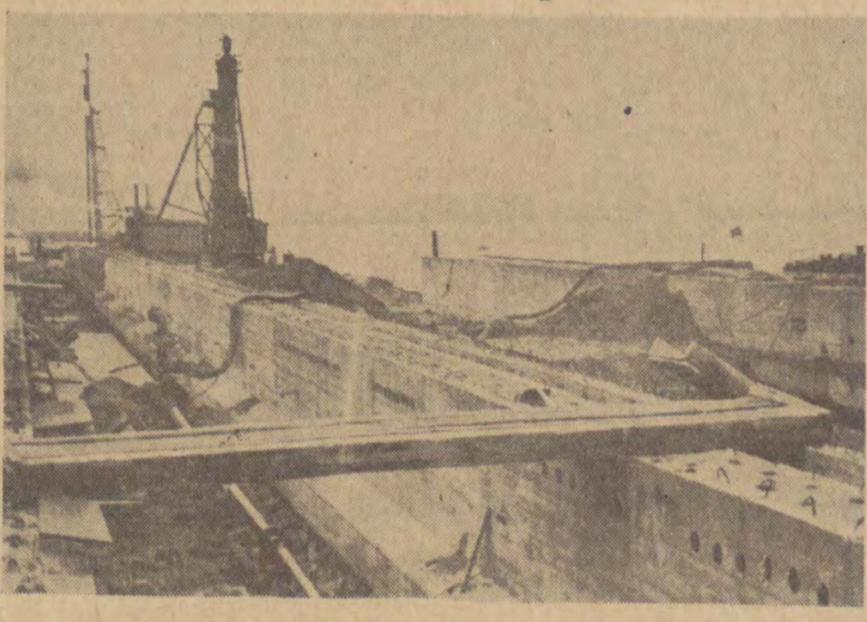
— O, wie pan, co to znaczy? — zapytał pewien sympatyczny kierownik szkoły, gdy rozmowę naszą przerwał krótki dźwięk dzwonek. Zaprzeczyłem ruchem głowy.
— To był sygnał, aby nauczyciele przerwali lekcje i przeprowadzili śródlekcyjne ćwiczenia gimnastyczne.
Niewiele szkół stosuje tego rodzaju ćwiczenia, czego chyba nie należy oceniać pozytywnie, albowiem wiadomo, że szkoła uczy, wiadomo, że szkoła wychowuje, wiadomo także (przynajmniej od pewnego czasu), że szkoła krzywi uczniowskie kregostupy.
Przyczyną tego trzeciego oddziaływania jest przede wszystkim to, że szkoły pracują na dwie, a nawet na trzy zmiany, co powoduje, iż w ławce zajmowanej przed południem przez czternastoletniego ucznia, niejednokrotnie wyrosłego ponad wiek, zasiada po południu dziewięć, ośmio czy też siedmioletni maluch. Ten czternastoletni * z trudem wciąga w ławkę swoją przydługie ciało, a któryś z maluchów siedzi w niej zawieszony między niebem a ziemią, mając w powietrzu nogami, którymi nie sięga do podłogi. Reka ma do pulpitu sięga wprawdzie, ale z pewnym wysiłkiem. Po iluś tam dniach siedzenia w takiej ławce okazuje

(Dokończenie na str. 3)

WIESŁAW MACHEJKO

KOŁYSKA

dla 65-tysięcznika



Budowa doku

Budujemy statki. To brzmi dziś zupełnie naturalnie. Ale przecież statek to nie jest domek jednorodzinny. Budownictwo okrętowe wymaga nie tylko olbrzymiego przemysłu stoczniowego, nie tylko olbrzymiej liczby zakładów kooperujących, ale przede wszystkim kadry doświadczonych fachowców, inżynierów, techników, projektantów, wymaga wreszcie tradycji, która jest w końcu niczym innym jak zbiorem doświadczeń zawodowych.
Budujemy statki od niedawna. Jeśli nie liczyć tego, że w okresie kiedy miasta słowiańskie, należące do Hanzy: Kołobrzeg, Darłowo, Kamień, była dla tej organizacji głównym dostawcą floty do połowu śledzi, to historia naszego budownictwa okrętowego rozpoczęła się przed kilku laty. Ktoś powie: dobrze, a Stoczn-

(Dalszy ciąg na str. 4)

się, że uczniowie ci mają skrzywione kręgosłupy. Wy-myślono na szczęście gimnastykę korekcyjną, dzięki której można sprostować skrzywiony kręgosłup uczniowski.

Statystyka wykazuje, że skrzywieniem kręgosłupa ulega od 25 do 40 proc. dziewcząt i od 15 do 25 proc. chłopców. W Łodzi uczy się obecnie ponad 140 tys. młodzieży, a więc zaniechanie prostowania mogłoby spowodować stałe skrzywienie kręgosłupów wśród kilku-dziesiąt tysięcy rzeszy chłopców i dziewcząt.

— Niech pan wydrukuje tłustym drukiem — powiedział tenże sympatyczny kierownik — że uczniowie tak długo będą krzywić kręgosłupy, jak długo szkoły będą pracowały na dwie zmiany i jak długo uczniowie klas młodszych będą nosili łeczki zamiast rańców.

Cóż, trzeba będzie zatem te krzywe kręgosłupy ustawicznie prostować. Wojewódzka Przychodnia Higieny Szkolnej organizuje właśnie kursy dla nauczycieli gimnastyki korekcyjnej. Bo trzeba pamiętać o tym, że szkoła powinna zapewnić uczniom zarówno prawidłowy rozwój umysłowy, jak i fizyczny. Wyżej przytoczone dane wykazują jednak rażąca dysproporcje. Dysproporcje te pogłębiają jeszcze bardziej innego rodzaju ułomności i schorzenia (wady wzroku, mowy, reumatyzm), które szkoła powoduje lub pogłębia, zamiast im zapobiegać. Krzywe kręgosłupy to tylko ta najwyższa procentowo ich część. Nie trzeba być ministrem oświaty aby stwierdzić, że w takiej sytuacji decydującego znaczenia nabiera wychowanie fizyczne w szkołach.

OSTATNIA RUBRYKA

Wychowanie fizyczne umieszczono w ostatnich rubrykach dzienników lekcyjnych. Nie powinno to pociążać za sobą żadnych ujemnych następstw, bo przecież któryś z przedmiotów musi być umieszczony w ostatniej rubryce. Niestety wiele rzeczy przemawia za tym drugim ujemnym znaczeniem ostatniej rubryki.

Program wychowania fizycznego dla szkół podstawowych zaleca nauczycielom z czterech działów — zabaw i gier, gimnastyki, ćwiczeń muzyczno-ruchowych oraz sportów i wycieczek „dobierać materiał odpowiedni do konkretnych warunków lokalowo-terenowych poszczególnych szkół oraz do zaopatrzenia (w sprzęt) i wymiaru czasu przeznaczanego w planie na lekcje w f.”. Dalej program przewiduje, że „Ćwiczenia gimnastyczne są bardzo cenne, zwłaszcza przy wyrównywaniu wad postawy (...)”, ale „W przypadku

braku sali gimnastycznej, sali zastępczej lub odpowiedniego korytarza można ćwiczenia gimnastyczne ograniczyć (...)”.

W odniesieniu do nauczycieli są to zalecenia najzupełniej rozsądne, bo przecież żaden nauczyciel nie zakupi sprzętu sportowego za własne pieniądze, nie stworzy sali gimnastycznej i nie przeprowadzi ćwiczeń gimnastycznych na dachu szkolnym. Zalecenia te wykazują jednak, że dosowuje się nie warunki do programu, lecz programy do warunków, na czym traci przede wszystkim młodzież.

Wystarczy rozważyć fakt, że na 348 placówek nauczania (wg. danych Woj. Przych. Hig. Szk.) 214 mieści się w nieodpowiednich budynkach i tylko 114 ma boiska, a 164 sale gimnastyczne, aby dojść do wniosku, że właśnie w tych

dopiero ma być boisko, ale kiedy będzie nie wiadomo. Przykry to widok — nowa szkoła na takim „nieuczesanym” placu.

„ŻUŻŁOWCY”

Nie wystarczy wszakże posiadanie boiska. Boisko trzeba konserwować. Gdy się tego zabiegów zaniecha, spotyka się takie oto obrazki.

Spod nóg uczniów biegających za piłką wytryskują kłęby czarnego, dławiącego oddechu pyłu. A gdy piłka opada na boisko, wy-skakuje spod niej w powietrze kupała kurzu, której nie powstydziłby się pomniejszy eksplodujący granat. Przypomina to raczej zawody żużlowe, niż zajęcia W. F. Po godzinie rozgrywki schodzą z takiego boiska brudnoskórzy uczniowie, unosząc w płucach kilogramy pyłu, który będą po trochu wykasliwać. „To „dymiące boisko” wysypano szlakiem bardzo, bardzo dawno. Z biegiem lat

przyjemnej kortowej nawierzchni.

Trzeba zatroszczyć się o boiska szkolne, które nabrały teraz szczególnego znaczenia ze względu na przysposobienie sportowe.

Nie mniej od sali i boiska potrzebny jest sprzęt. Sprzęt właściwie szkoły mają, ale jego stan pozostawia niekiedy wiele do życzenia. Zdarza się więc, że uczniowie używają własnych piłek na zajęciach W. F., choć szkoła ma piłki, tylko skóry są poprute. Można też zobaczyć materace porwane, czarne od brudu i na odległość cuchnące potem. Materace, które już od dawna powinny się znaleźć w centrali odpadków użytkowych, gdyż na pewno nie pogłębiają w uczniach zamiłowania do sportu i nie u-przyjemniają pracy nauczycielom.

CENZUS MŁODOŚCI

Na pewnym podwórku szkolnym, podwórku-studni, kopali piłkę chłopcy z siod-

łoda, ale nie chciała wziąć W. F. W końcu jednak wzięła kilka godzin, no bo kierownik powiedział, kilka pozostałych godzin wzięła inna nauczycielka, która też nie chciała, ale też była młoda.

Co roku przybywają do szkół absolwenci liceów pedagogicznych. Tym najłatwiej „wlepić” W. F. Nie zdołają się obronić. Argument „nie potrafię” musi ustąpić przed argumentem „jesteście kolegą, koleżanką, kolegą, tacy młodzie”. Przychodzą do szkół absolwenci uniwersytetów, też młodzi, więc dla uzupełnienia etatu dwie godziny W. F. temu, dwie tamtej, jedną tamtemu.

Wprawdzie zarządzenie Ministra Oświaty mówi, że: „Przydzielanie przedmiotów nauczycielom powinno odbywać się zgodnie z ich kwalifikacjami”, ale ktoś musi prowadzić W. F., a że specjalistów brak, więc młodość bywa często jedynym dowodem kwalifikacji. Nie jest to nawet pozbawio-

tygodniowego wymiaru godzin W. F. z 3 do 2. Politechnizacja to rzecz ważna, ale i prosty kręgosłup coś wart.

IDZIE ZIMA

Jesienią klasy piąte szkół podstawowych odbywają naukę pływania w jedynym łódzkim basenie udestynowanym szkołom przez MDK. Nauka to ze wszelkich miar pożyteczna. Szkoda tylko, że odbywa się jesienią, bo dzieci często się przeziebiają. Rodzice się niepokoją (chyba słusznie) i gdy dziecko zaczyna się kakać nosem, na basen go nie puszczają. Prawda, że zimą byłoby jeszcze gorzej, ale latem byłoby znacznie lepiej. Więc może jednak należałoby przesunąć naukę pływania dla klas piątych na „jesienne letnie”?

A zima... Zima właściwie wychowanie fizyczne emigruje do sal gimnastycznych, jeżeli szkoła ma siłę, alba zapada w sen zimowy, jeżeli szkoła nie ma sali. Niekiedy wycieczka do parku, pojedynki na śnieżki i to właściwie wszystko. A program znowu zaleca łyżwiarstwo, narciarstwo, saneczkarstwo. Piękne to sporty i napewno przez młodzież lubiane. Ale program zaleca również „dobierać materiał odpowiedni do konkretnych warunków”. A że w Łodzi gór nie ma, stawów jest mało i leżą za miastem, więc nie ma konkretnych warunków do uprawiania sportów zimowych.

Pomijając jednak to zgodne właściwie z zaleceniem programu uproszczenie, stwierdzić trzeba, że lodowisko mogłoby być na każdym boisku szkolnym. Ze śniegu mogłoby je oczyszczać uczniowie wykorzystując na ten cel prace społecznie użyteczne. Lepsze to chyba od okupowania często niezbyt dobrze ogrzanych sal gimnastycznych, w których uczniowie obrastają gęsią skórą, a po zajęciach znajdują „konkretnie warunki” łyżwiarskie na ulicach.

Bo i prawie mówiąc, co ma robić nauczyciel na sali z 50 osobową grupą uczniów, jeżeli na znacznie większym od sali boisku, ledwie sobie z taką watahą radzi? Grać w kosza? Jak? 25 na 25? Nonsens. Wiec co? Całą zimę ćwiczyć gimnastykę i gry bieżne? Też niezbyt szczęśliwe rozwiązanie, bo trzeba pamiętać o przysposobieniu sportowym, którego założenia są trochę inne niż wychowania fizycznego. Na godzinach „peesu” nie można ciągle ćwiczyć gimnastyki, trzeba przede wszystkim uprawiać sporty.

Szkołom są bardzo potrzebne lodowiska. Tym bardziej, że od stycznia ma być wprowadzone przysposobienie sportowe dla wszystkich szkół w wymiarze 2 godzin tygodniowo.

Bedne to niewątpliwie poniesienie bardzo słusze, bo W. F. jest jednak w szkole za mało.

ZBIGNIEW SEMIŃSKI



szkołach, w których wychowanie fizyczne powinno być otoczone szczególną troską, bywa ono ograniczane. Bo nieodpowiednie budynki, to wąskie, tonące w półmroku korytarze i małe izby lekcyjne, w których ławki są ustawione rzędami obok siebie i albo weale nie ma między nimi przejścia, albo przejście jest, ale takie, że trzeba się przez nie przeciskać. Wszystko to kępuje tak potrzebą uczniom swobodę ruchów. A jeżeli ogranicza się jeszcze w takich szkołach ćwiczenia gimnastyczne, bo nie są sali, boiska czy odpowiedniego korytarza, to uczniom nie pozostaje właściwie nic innego, jak tylko krzywić kręgosłupy, i krzywić je zgodnie z założeniami logiki.

Zgodnie z tymiż założeniami, trzeba wreszcie przeznaczyć odpowiednio wysokie sumy pieniężne na sale gimnastyczne i boiska. To, że nie zrobiono tego przez 15 lat, jest już trochę żenujące. A szczególnie żenujące jest to, że żadna właściwie z nowych szkół oddawanych obecnie do użytku (poza szkołami Tyśliclecia) nie ma boiska, tylko jakiś plac, na którym

szlaka została stała setkami butów na czarną maczkę, która teraz unosi się do góry przy najniższym stąpnięciu.

Inny obrazek. Uczniowie, piłka i boisko tym razem pokryte żwirem. Tuż tak-że unoszą się za uczniami i za piłką kłęby pyłu. I to boisko „dymi”, bo żwir z biegiem lat również został starty, na maczkę. Teraz za lad podmuchem unoszą się z boiska chmura kurzu. Przy tym żwiru jest tak dużo, że nogi toną w nim po kostki. Aby po takim czymś biegać swobodnie za piłką, trzeba mieć niespożyta energię i stalowe mięśnie nóg. Sądzę, że uczniowie nie wyrabiają na takim boisku kondycji, lecz zrywają mięśnie.

Są wreszcie boiska, których nawierzchnie stanowią zwykła, poczciwa ziemia. Wystarczy trochę deszczu i już boisko takie pokrywa się osłizłym błotem, wobec czego nie można z niego korzystać, a przecież program zaleca przeprowadzać jak najwięcej zajęć na powietrzu.

Właściwie w jednej tylko szkole z tych kilkunastu, które odwiedziłem, widziałem boisko o naprawde

mej klasy. Pod ścianą siedziało na ławeczce kilka dziewcząt. Chciałem porozmawiać z nauczycielem, ale jakoś nie mogłem go dostrzec. Ponieważ jedna z dziewcząt nie wyjmowała z ust gwizdka, najwidoczniej siedzącej chłopcom, do niej zwróciłem się z pytaniem, gdzie jest nauczyciel.

— To ja, wprawdzie tylko nauczycielka, ale to ja — odparła ze śmiechem.

Trochę mnie to zbiło z tropu. Niska, szczupła młodzieńca. Bez szminki. Włosy nie utlenione, nie rude, nie białe. Ciemno blond. Niczym właściwie nie różniła się od siedmioklasistek, a siedmioklasistki sprawiali przy niej wrażenie wielkoludów.

— W. F. jest pani specjalnością? — zapytałem.

— Nie, ale postanowiłam, że będzie moja specjalnością. Od tego roku zajmuję się tylko W. F.

— Sama pani postanowiła?

— Właściwie nie sama. Kierownik powiedział, że jestem taka młoda, a w szkole nie mamy specjalisty, więc się zgodziłam.

Młoda... Druga nauczycielka też była młoda i kierownik też powiedział, że jest

ne sensu. No bo kto ma wziąć W. F. Stary? Żeby dostał zadyszki?

Nie są z tego zadowoleni nauczyciele, którym brak kwalifikacji, ale i uczniom nie wychodziło to na dobre. Na oczekaniu wymyślano wymachywanie ramionami nie zastąpi gimnastyki, a już z metodyką na pewno nie mieli wiele wspólnego. Tymczasem w szkołach podstawowych prowadzi jeszcze W. F. około 150 nauczycieli bez odpowiednich kwalifikacji, a i w szkołach zawodowych także ich nie brak. Trudno się temu dziwić. Dotychczas tylko trzy studia nauczycielskie w całej Polsce przygotowywały nauczycieli W. F., a licea pedagogiczne także traktowały te dyscypliny po macoszemu. W woj. łódzkim np. tylko tomaszowski liceum przygotowuje nauczycieli tego przedmiotu.

Najwyraźniej nie doceniano wychowania fizycznego wyciągając fałszywy wniosek z ostatniej rubryki dzienników lekcyjnych. Ktoś nie wziął również pod uwagę tego, że jeżeli w szkołach podstawowych brak 150 nauczycieli kwalifikowanych, to nie należy w klasach ósmych liceów ogólnokształcących zmniejszać

ANDRZEJ BRYCHT



rys. Maria Rumińska

Mała strzeżona plaża którą sierpień boli. Pragnienia pochylone nad otchłanią soli.

Ach, nie trzeba umierać z miłości do zdarzeń. Wszystko się już zdarzyło, zanim byliśmy razem.

Drży jak liście pod wiatrem harmonia strofona a zmierzch jest szybszy, niż wczoraj.

Z wydm oplecionych trawa, z rdzewiejących kłaczki czas się utlenia bez końca. Lecz i to się skończy.

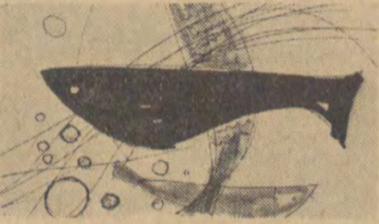
BASI

Z cyklu: PLAŻE POWSZEDNIE

* * *

Nocą obyczaj cię prowadzi na plażę suchą i syczącą. Tu plach stygnący ciemność lądzi. fala kontynent lekko trąca

Nocą obyczaj myśleć każe o życia sensie i wieczności. Lecz nieraz w taką noc zawodzi wytrawny system wyobrażeń



rys. Roma Kosińska

Więc gdy pomyślisz że ustanie galaktyk ruch nad Europą i pod niepewną czujesz stopą planety nieme wibrowanie

Pomyśl z czym w wieczność ci się darzy wejść i uśmiezek zetrzyj z twarzy i kroplę potu co na nosie jak sygnał kłęski lśni w kosmosie

* * *

A tu niedawno ogień rósł od marzeń w dwie przeciwne strony i bieg planety określony tym ogniem mnie i ciebie niósł

W piasku od ognia ocalonym nasz ślad nieważki dotąd trwa aż czas odmiennie prawa da konstrukcją ruchu planetowym

Tak zamierzeniom naszym rad przemian i trwania prawodawca byśmy się mogli z ogniem sprządnąć plaże powszednie sypie wiatr.

KOŁYSKA dla 65-tysięcznika

Gdyńska przed wojną? Ale Stocznia Gdyńska, niewielka spółka akcyjna powstała w latach dwudziestych zatrudniała w swych warsztatach zaledwie 200 ludzi. Zajmowała się głównie remontami, czasem tylko wybudowała jakiś kuter, motorówkę czy trałowiec dla marynarki wojennej. Na przeszkodzie rozwoju tej stoczni stał znaczny udział, a zatem i wpływy kapitału zagranicznego, któremu zależało na torpedowaniu rozwoju stoczni polskiej. Dopiero tuż przed wojną zaistniały możliwości rozwoju stoczni, ale wojna już do tego nie dopuściła.

Jak wyglądała w tym czasie produkcja Stoczni Gdańskiej i Szczecińskiej? Stocznie Wolnego Miasta Gdańska wybudowały w całym dwudziestoleciu trzecią część tego, co obecna Stocznia Gdańska w ciągu lat dziesięciu. Stocznie szczecińskie popadły w zależność od koncernu „Deschimag” z Bremy i zostały nawet częściowo rozmontowane. Znaczne zniszczenia wojenne, sięgające 70-80 procent, dopełniają całości sytuacji w jakiej rozpoczynaliśmy po wojnie budownictwo okrętowe.

Budujemy statki. W roku ubiegłym zajmowaliśmy w świecie 12 miejsce pod względem produkcji i 7 pod względem eksportu statków. We wszystkich stoczniach wybudowaliśmy 52 statki o nośności 187 tys. DWT.

Od początku swego istnienia przemysł okrętowy wybudował 437 statków różnych typów o łącznej nośności blisko miliona DWT.

Nasz portfel zamówień na najbliższe pięć lat jest pełny. Pod tym względem zajmujemy pierwsze miejsce w świecie.

Jakie statki budowaliśmy dotychczas? 96 procent naszej produkcji to jednostki od 1 tys. do 10 tys. ton. Jedynie pochylnia B-5 w Stoczni Gdańskiej zdolna jest budować jednostki większe — do 19 tys. ton. Tam montowany jest tankowiec „Prof. Huber”. Ale już w roku 1965 Polska będzie mogła ofiarować na rynkach światowych pełny asortyment statków z 65 tysięcy jednostkami włącznie.

KOŁYSKA DLA 65-TYSIĘCZNIKA

Kołyska z 200 tysięcy ton betonu! Największy w kraju suchy dok powstaje teraz w Stoczni im. Komuny Paryskiej w Gdyni. W roku 1962 na doku rozpoczęła się budowa pierwszych jednostek. Nie będzie to jednak od razu 65-tysięcznik, a prawdopodobnie seria trzech dziesięciotysięczników. Dlaczego właśnie dok a nie modne pochylnie? Dok jest wprawdzie o połowę droższy niż budowa pochylni, ale za to zapewnia pełne bezpieczeństwo przy wodowaniu statku. Poza tym wydajność doku jest dwa razy większa. W razie braku zamówień na budowę statków, można na suchym doku przeprowadzać remonty dużych jednostek. Remonty bardzo kosztowne finansowo.

A więc budujemy dok — olbrzym. I co ciekawe budujemy sami. Projektantami doku są polscy inżynierowie z Biura Projektów Budownictwa Morskiego w Gdańsku i Politechniki Gdańskiej: inż. Janusz Hauptman, profesorowie Politechniki Gdańskiej Hückel i Wegrzyn, inż. Pospisich i z BPIM, inż. Wiktor Borku-



Inż. Zabiłto pod ostrzałem dziennikarzy

sławicz, inż. Zdzisław Ziemia, inż. Tadeusz Popkiewicz. Mamy dwóch konsultantów, angielskiego: firmę „Burns i Partners” i radzieckiego w osobie inż. Dowgiera. Konsultanci angielscy byli jak najlepszego zdania o projektach inżynierów polskich.

Teraz kilka szczegółów technicznych, dających obraz tej wielkiej inwestycji: polskiego okrętownictwa. Suchy dok ma długość 240 metrów, szerokość 36 metrów. Oczywiście dok stanowi zakończenie tzw. potoku produkcyjnego, który rozpoczyna się w składzie stali, wiedzie poprzez hale obróbki, trasernie, hale prefabrykacji i plac montażu bloków okrętowych do doku. Całe bloki okrętowe transportowane będą na dok przy pomocy wielkiej suwnicy o nośności 500 ton, a wysokości 100 metrów.

Będzie to suwnica największa w stoczniach europejskich. W stoczni kopenhaskiej podobne urządzenie ma udźwignąć 400 ton. Nowoczesna metoda łączenia na doku gotowych bloków pozwoli skrócić czas montażu 65-tysięcznika do dwu i pół miesiąca! Koszt budowy doku 570 milionów złotych (po rewizji założeń projektowych). Ktoś powie: dobrze, ale takie kolosy (65-tysięczniki) nie mogą pływać po Bałtyku, nie mogą zawiązać do bałtyckich portów. Słusznie, nie mogą. Ale mówimy przecież o statkach głównie na eksport. Będą one opuszczaly Stocznie Gdyńską (posiadającą zresztą potrzebną głębokość portu) pod balastem zaś pływać będą nie po Bałtyku a po głębszych morzach i oceanach.

Czy rozbudowa Stoczni im. Komuny Paryskiej na tym

się zakończy? Nie. Dyrektor naczelny inż. Erazm Zabiłto mój chętnie o planach perspektywicznych, o budowie jeszcze jednego potoku okrętowego, a więc hal, placów, montażu i drugiego jeszcze większego doku. Dogodne położenie Stoczni Gdyńskiej, a przede wszystkim wolne tereny nadbrzeża, pozwalają wierzyć, że perspektywy te są realne.

Stajemy się potęgą stocznia w skali światowej.

**Tekst i zdjęcia
WIESŁAW MACHEJKO**

MINAŁ TYDZIEŃ

SŁOWACKI w Ziemi Łęczyckiej

(Dokończenie ze str. 2)

miej jeszcze talent i trzeba coś niecoś pojmować i z poezji w ogóle, i z poezji Słowackiego, i z poezji współczesnej.

Podobnie żalonych i wściecznych artykułów znajdzie się w „Ziemi Łęczyckiej” znacznie więcej. Służą one do załatwienia jakichś prywatnych spraw, służą rozładowaniu jakichś przykrych i nieważnych kompleksów samych autorów. „Ziemia Łęczycka” pismo regionalne z dwudziestoletnią tradycją musi się strzec, aby na jej łamach nie wkraczał obskurantyzm, wsteczność i parafian-szczyzna.

Nie po to również ukazuje się ten miesięcznik regionalny, aby upychać w nim swe najlepsze utwory łódzcy literaci, aby jego łamy stawały się azylem grafomanii. Pismo to musi się dopracować własnych autorów, wylawiać i pomagać w starcie ludziom młodym i zdolnym, których przecież nie brakuje — jeśli wierzyć autorowi „Słowac-

klego wśród nas”. Pismo „Ziemia Łęczycka” posługuje się bowiem zbyt małą liczbą nazwisk. Nie chodzi przecież o to, aby wymadzać się na „wielkie tematy”, aby pokazywać jacy to my, tam w Łęczyce, jesteśmy mądry i inteligentni, ale aby omawiać swoje trudne sprawy swego regionu, upowszechniać czytelnictwo, sztukę i nowe słuszne poglądy na kulturę. W przeciwnym bowiem razie pismo to zaprzeczy racji swego istnienia, samej pięknej idei regionalnego miesięcznika.

Może właśnie podany na początku niniejszego felietonu przykład miesięcznika „Dalnyj Wasłok” okaże się pomocny redaktorom?

ZBIGNIEW NIENACKI

PS. Wszystkie te uwagi, panie redaktorze, nasunęły mi się w związku z przeczytaniem w minionym tygodniu ostatnim numerem „Ziemi Łęczyckiej”. Nareszcie dowiedziałem się, jak wygląda poezja „zdolna wzwolnić entuzjazm i umacniać w dzia-

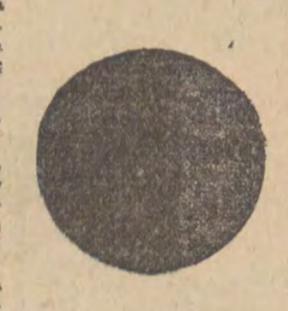
łaniu”. Oto próbka wiersza Władysława Strzeleckiego, autora artykułu „Słowacki wśród nas”:

„Traktor
Krosno
Pióro i pień
Jeśli zechcesz — na wszystko rada,
Zbiera owoc z najgorszych zadań

Miasto i wieś,
Do archiwów państwowych wstęp masz
Prawda zdarzeń w najprostszych słowie”.

Szczególnie niepokojące wydają mi się te „najgorsze zadania”, z których owoc zbiera miasto i wieś. Czy to aby polityczne? Nie widziałem zaś powodów do umacniania się w działaniu, do wiedziawszy się, o wolnym wstępie do archiwów państwowych. Watpie, czy z takiego postawienia sprawy zadowolony byłby dyrektor Wojewódzkiego Archiwum, pan R. Kaczmarek. Przy korzystaniu z archiwaliów zawsze żądał ode mnie legitymacji służbowej.

Z. N.



Nad czym radzili literaci w Gdańsku

Jak już wiadomo z pracy codziennej w dniach 25 i 26 listopada br. odbył się w Gdańsku kolejny XI Walny Zjazd Delegatów Związku Literatów Polskich. Ponieważ jeden delegat wypada na dziesięciu członków Związku, więc było tych delegatów razem osiemdziesięciu. Prócz delegatów uczestniczą w Zjeździe z urzędu członkowie Zarządu Głównego i prezesi poszczególnych oddziałów terenowych Związku — ogółem tedy w Zjeździe gdańskim brało udział ołędziesięciu osób. Drugie tyle spośród dziennikarzy i przedstawicieli miejscowego społeczeństwa i władz towarzyszyło obradom z prawem głosu, ale bez prawa głosowania — w sumie więc zjazd tak: godzi się nazwać otwartym sejmikiem literackim w pełnych tych słów znaczeniu.

Co jest przedmiotem obrad takiego corocznego sejmiku literatów? Nie obiór nowych władz centralnych Związku, bo ten odbywa się co trzy lata. Przedmiotem corocznego Walnego Zjazdu Delegatów ZLP są narady w ciągu ostatniego roku nowe problemy zarówno w łonie samego Związku, jak i w świecie nas otaczającym, a dotyczące ściśle zadań i sensu literatury.

Ustaliła się w praktyce powojennej bardzo piękna tradycja tych zjazdów — że względu na ich charakter i wymowę co rok w innej miejscowości. I tak: pierwszy zjazd zaraz po wojnie odbył się w Krakowie, drugi w Łodzi, kilka kolejnych w Warszawie, potem we Wrocławiu, w Szczecinie, w Poznaniu, a ostatni w Gdańsku — ściślej mówiąc w Sopocie.

Zjazd ten na tle coraz bezczelniejszych głosów rewizjonizmu zachodniemieckiego miał swą głęboką wymowę — także i polityczną. Zaakcentował jednolitą postawę, że tak powiem, po stawie aktywnego odporu literatów polskich wobec wrogich zakusów na całość naszych ziem odzyskanych, co znalazło mocny i zgodny akcent w szeregu przemówień. Szczególne znaczenie miały tutaj głosy delegatów z oddziałów terenowych, zwłaszcza pomorskich i śląskich. Zresztą ten akcent: nadał obradom z miejsca sprawozdawczy referat prezesa Zarządu Głównego Jarosława Iwaszkiewicza, a potem niejako dopełniający go z uwzględnieniem spraw regionalnych, referat prezesa oddziału gdańskiego, Lecha Bądkowskiego. Znaczenie Zjazdu podniosła obecność na nim ministra Kultury i Sztuki T. Galińskiego.

Sądzę, że dwudniowa ożywiona dyskusja nad obu referatami byłaby jeszcze bardziej zwarta i konkretna, gdyby problem literatury, dotyczącej stosunku człowieka do morza, postawiony był bardziej wyraźnie i zdecydowanie w osobnym na ten temat referacie, a nie tylko przypadkowo w obu referatach sprawozdawczych. Ten charakter własnie sprawozdawczy obu referatów nie pozwolił rozwinąć szerzej tematu bogactw tradycji morskich w

literaturze polskiej, choćby w twórczości Stefana Żeromskiego, a zwłaszcza — mimo, że pisał po angielsku — w twórczości Josepha Conrada. Aż dziw bierze, że organizatorzy Zjazdu nie pomyśleli o tym, nie wykorzystali okazji do przypomnienia tak żywych jeszcze i aktualnych elementów artystycznych, wątków ideowych i problemów treściowych w nieśmiertelnych, a także dziełach tych wielkich, jedynych z największych, pisarzy naszego wieku. Zmarłowa została szansa nawiązania problematyce obrad wymiaru bardziej europejskiego bez uszczerbku dla doniosłości spraw krajowych i lokalnych.

Tymczasem to sprawy lokalne i terenowe z braku właściwej orientacji w charakterze tego Zjazdu u większości delegatów wybiły się nieraz na pierwszy plan i przysłaniały sobą sprawy bardziej ogólne i ważne. Oczywiście skargi niektórych dyskutantów na szczególne uprzywilejowanie środowiska literatów warszawskich w stosunku do środowisk terenowych miały swoje uzasadnienie.

Dotyczy to również palących spraw bytowych pisarzy, kłopotów wydawniczych, nieporozumień z odpowiedzialnymi czynnikami, braku właściwej krytyki, problemu młodzieży literackiej, pism prowincjonalnych i większej dbałości o zabezpieczenie ośrodków życia literackiego w terenie, zwłaszcza na zachodnich i północnych polaciach naszego kraju. Tak, to wszystko prawdziwa. Ale przecież najważniejszą sprawą na tym Zjeździe było zagadnienie roli jaką gra współczesna literatura w aktualnym życiu naszego narodu i problem jej znaczenia w świecie. Te niezwykle ciekawe sprawy były przedmiotem wystąpienia wielu mówców, wśród nich szczególnym uznaniem zebranych cieszyły się wystąpienia J. N. Millera, Wilhelma Szewczyka, Michała Rusinka i prezesa naszego oddziału, Jana Korprowskiego. Na osobne odnotowanie zasługuje przemówienie nestora literatów gdańskich, Augustyna Necla, starego rybaka z Władysławowa, autochtona helskiego, wygłoszone w autentycznym narzeczu kaszubskim, a podkreślające historyczne tradycje patriotyzmu ludu pomorskiego.

Coroczne Zjazdy Delegatów ZLP mają ogromne znaczenie zarówno zewnętrzne dla społeczeństwa, które się dowiaduje, co literaci myślą i jaki jest ich stosunek do głównych zagadnień dnia bieżącego, jak wewnętrzne dla samych literatów, którzy zechwawszy się z rozmaitych stron kraju, poznają się bliżej wzajemnie i w toku dyskusji uświadamiają sobie wiele problemów z zakresu swych zadań artystycznych i obowiązków społecznych.



Dzikowo. Resztki dubeltówki znalezionej w ruinach. Fot. J. Grodziński

KAROL BADZIAK

(III)



— 11 —

W przededniu zdobycia Królewca znika z muzeum bursztynowa komnata. Dokąd została wywieziona? W którym miejscu ukryta?

Od 15 lat najwytrawniejsi radziecy detektywi pracują nad rozwiązaniem fascynującej zagadki. Pierwotnie przypuszczano, że komnata znajduje się na terenie samego Królewca. To były jednak tylko poszlaki. W toku poszukiwań zrodziło się kilka wersji. Między innymi wymienia się takie miejsca jak: lochy dzikowskiego pałacu, była siedziba Kocha, zburzony zamek Lochsteub w pobliżu Bałtijska, Półwysep Helski oraz dawna siedziba Göringa położona w pobliżu znanego podziemnego schronu Hitlera w woj. olsztyńskim zwanego popularnie „szańcem wilków”.

Rozdział jedenasty

w którym dowiadujemy się kim jest samotna nauczycielka z Kostromia

Tego dnia nauczycielka z Instytutu Historii Sztuki w Kostromie nie spodziewała się gości. Skończyła wykład i spacerkiem wrocila do swego małego pokoiku. Siwuteńka jak gołąb, spokojna, małomówna dama cieszyła się szacunkiem otoczenia. Jej przeszłość otoczona była mgłą tajemnicy. Nikt nie wiedział skąd się tu wzięła, ale też nikt się tym nie interesował. Dlatego też sąsiedzi bardzo byli zdziwieni gdy dwóch młodych ludzi natarczywie dopytywało się gdzie mieszka pani prof. N. Ale chyba bardziej od sąsiadów zaskoczona była ta wizyta starsza dama. Chłodno przyjęła nieproszonych gości i nie zgadzała się na żadną roz-

— 12 —

mowę. Prosiła by ją odwiedzili w dniu jutrzejszym. Tego wieczoru długo w noc świeciło się światło w pokoju starszej damy.

Następnego dnia goście znów odwiedzili panią profesor. Wręczyła im wtedy obszerny rękopis. Był to niezmiernie ciekawy dokument. Kobieta opisała w nim całe swe życie, ze szczególnym uwzględnieniem okresu okupacji. Opowiadała, jak stchórzywszy przed hitlerowcami, całkowicie zatamana zgodziła się na ich propozycje. Pisała antyradzieckie artykuły w prasie niemieckiej i była rzeczoznawcą rosyjskich dzieł sztuki rabowanych i wywożonych z ZSRR. Na zakończenie oświadczyła, że o losach bursztynowej komnaty nic jej nie wiadomo. Doskonale natomiast pamięta swój pobyt w Dzikowie, do którego przewiozła 100 skrzyń eksponatów z kijowskich muzeów. Pamięta także, jak podczas pierwszej bytności w pałacu gdy przygotowywała miejsce dla nadchodzących transportów, spotkała w jednym z salonów opieczętowane skrzynie zawierające — jak się domyślała — zbiory muzealne. Na skrzyniach widniały napisy w języku rosyjskim: „Uwaga! Tutaj spoczywają bezpieczne skarby kultury. Otwierać tylko w obecności oficerów do spraw KO”. Otóż nalepki te umieścił na skrzyniach dr Rhode. Jest to jeszcze jeden fakt, świadczący o wielkim umiłowaniu sztuki przez tego człowieka.

Prawdziwe nazwisko profesorki z Instytutu Sztuki brzmiało: Poljna Arkadjewna Kulzenko. Wręczenie przez nią rękopisu oficerom śledczym odbyło się w 1958 roku.

Rozdział dwunasty

w którym dowiadujemy się o dziwnej misji Czerwonego Krzyża

17 kwietnia 1945 r. do Dzikowa przyjeżdża specjalny oddział SS, który demoluje cały pałac. Fakt ten jest o tyle ważny, że oddziały niemieckie uchodząc przez armię radziecką, nigdzie nie niszczyły junkierskich majątków. A gdy weźmiemy pod uwagę inicjały „B Sch.” z następującego zdania rozkazu Ringla: „Salę bursztynową dostarczyć w znane wam miejsce B. Sch.” — znajdziemy się o krok od rozwiązania zagadki. Dodajmy, że właścicielka pałacu w Dzikowie nazywała się Berta Schwering.

Tak więc ślady prowadzą do Polski. Wyszedszy z tego założenia pojechałem jesienią tego roku do Dzikowa na poszukiwania. Na miejscu zastałem tylko rumowisko gruzów zryte buldożerami przez ekipy poszukiwawcze.

Pałac położony był przeszłecznie, otaczał go z jednej strony, dębowy park, z drugiej malownicze jezioro. Dawna hrabiowska siedziba osnuta tajemnicą znajduje się obecnie pod zarządem kierownictwa PGR.

Zainteresowałem się przede wszystkim piwnicami tego dziwnego rumowiska. Pracownicy PGR aczkolwiek bardzo chętni do konwersacji na temat „tej historii o skarbach” nie konkretnego oprócz paru anegdot i plotek nie mogli powiedzieć.

Natknąłem się jednak na bardzo ciekawą wersję lokalną, którą swego czasu podawał „Głos Olsztyński”. Otóż do redakcji tego pisma zgłosił się Bolesław Grodziński. 16 maja 1945 roku przybył on do Górowa w celu przejęcia powiatu od wojskowych władz radzieckich. Będąc w Górowie nie omieszkał odwiedzić również Dzikowa, odległego o kilkanaście kilometrów od tego miasta.

— 13 —

Za „Głosem Olsztyńskim” cytuję w pełnym brzmieniu wypowiedź B. Grodzińskiego:

— Byliśmy chyba pierwszą grupą Polaków na tym terenie. Udałem się również do Dzikowa. Na placu przed pałacem znajdował się duży skład amunicji niemieckiej; wszędzie zwłoki poległych. Zaś kilka miesięcy później do Górowa przyjechała misja Czerwonego Krzyża jednego z zachodnich państw. Mieli samochody Ford-Canada. Zwrócili się do mnie z pytaniem, gdzie leży miejscowość Kamięnsk? Znajdował się tam hitlerowski obóz jeńców wojennych i przedstawiciele Czerwonego Krzyża udali się do Kamięnska celem poszukiwania grobów jeńców...”

Trzeba wyjaśnić, że Kamięnsk graniczył z Dzikowem. Kilometr doskonałej drogi; można uwierzyć, że wścibska misja chętnie „obejrzała” również siedlę sławnych von Schwerinów.

Wypowiedź ta pokrywa się z informacjami jakie posiadają Rosjanie, którzy przesłuchali na ten temat szereg świadków. Podają oni, że owa „misja” jednego z neutralnych państw odwiedziła pałac i wywoziła z niego kilkanaście skrzyń wygrzebanych najprawdopodobnie z podziemnych ochów gmaszyska.

Rozdział trzynasty

w którym dowiadujemy się o znalezieniu świętych drzwi Zbója Szlachetnego

Sprawą bursztynowej komnaty zainteresowane zostały najwyższe czynniki państwowe. Z polecenia władz przystąpiono do poszukiwań. Ruiny pałacu przeorano spychaczami, drogę do piwnic torowała jednostka saperów przy pomocy trotylu i innych materiałów wybuchowych. Widocznie jednak poszukiwania prowadzono zbyt niecierpliwie, gdyż w konsekwencji nie dokopano się do piwnic, przeciwnie drogę do nich zupełnie zamknięto.

Zawiedzeni w swych nadziejach poszukiwawcze opuścili teren Dzikowa, stwierdzając kategorycznie, że ruiny pałacu nic w sobie nie kryją...

Jak to zwykle bywa w takich wypadkach znalazł się człowiek o sceptycznym usposobieniu, który tym zapewnieniom nie uwierzył. Stanisław Ju dźci niczym niezrażony często odwiedzał Dzików i gotymi rękami grzebał w rumowisku. I oto naraz, pewnego sierpniowego dnia natknął się na niewielką tabliczkę z napisem w języku starocerkiewnym. Udał się z tą tabliczką do popa w Olsztynie, który ją rozszyfrował i odczytał w następujący sposób: „W 1544 roku książę Siemion Andrejewicz dał jako wkład poświęcone Sawiemu te święte drzwi Zbója Szlachetnego w darze po swych rodzicach”.

Oczywiście, święte drzwi jako że były w drzewie rzeźbione spaliły się i pozostała po nich jedynie tabliczka z ową interesującą dedykacją.

Do Dzikowa ponownie udaje się ekspedycja poszukiwawcza. Obok tabliczki znaleziono w ruinach szczątki spalonych ikon, tak zwane koszulki metalowe, oraz wydobyto dziewięć medalii włoskich wybitych na cześć Nicolo Piecino — malarza z Mediolanu (żyjącego w 1500 r.) pisarza Piotra Aretino (1492—1556), Rogera Speranden — malarza z Walerencji (1404—1450) i Pandulffa — rytownika włoskiego, który wyrzeźbił słynne drzwi katedry w Pizie. Ponadto jeden z medalii przedstawiał świecką scenę obyczajową a pozostałe przedstawiały sceny religijne przeważnie z życia Chrystusa.

Według prz. ruszczeń przedmioty te nie należały do żadnego z muzeów ani polskich ani radzieckich. Możliwe więc że były to prywatne zbiory Schwerinów.

— 14 —

Lecz to nie koniec odkryć. W ślad za tabliczką i medalami wygrzebaro z ruin tłok pieczętny Fryderyka Wielkiego oraz zwęzione resztki obrazów i ksiąg. Odnalezione także tabliczki miedziane o wyraźnych konturach jakiegoś rysunku, którego malowidło strawił ogień. Tabliczka posiadała numer inwentaryzacyjny. Ponieważ prywatnych zbiorów nikt przeważnie nie numeruje, wskazywałoby to więc, że pochodzi ona ze zbiorów muzealnych.

Dokopano się także do porcelany i sztućców srebrnych. Znależiska te nie posiadają wartości muzealnej ale świadczą o okolicznościach, w jakich spalony został zamek. Dokonano tego zapewne po sutej libacji.

Rozdział czternasty

w którym dowiadujemy się o nieudanej wyprawie prof. Rajewskiego

W związku ze znaleziskami, jakich dokonano w Dzikowie udaje się w to miejsce wraz z ekipą poszukiwawczą znany archeolog członek PAN prof. Rajewski. Profesorowi towarzyszyli pracownicy z Instytutu Kryminalistyki. Wyprawa ta jednak nic nowego nie odkryła. Po rozmowie z profesorem konserwator wojewódzki w Olsztynie sporządza następujący komunikat:

„Wykonano wykopy w miejscu dawnego tarasu, prostopadłe w stosunku do elewacji pałacu oraz na terenie dziedzińca. Mury obwodowe pałacu zostały odsłonięte na wysokości piwnic, gruz przesuwano częściowo na zewnątrz, częściowo do środka. Na terenie parku i całego pałacu wykonano sondáže archeologiczne. Prace te nie wykazały jakichkolwiek przedmiotów zabytkowych”.

Tyle zwięzły raport konserwatora. A tymczasem w Dzikowie krąży podanie, że na kilka dni przed nadejściem armii radzieckiej wywieziono do pobliskiego lasu jakiś ładunek. Jedną z mieszkańek Anemarie przypomina sobie również o transportie blachy cynkowej, którą najprawdopodobniej opakowano skarby i zakopano gdzieś w okolicy.

Rozdział piętnasty

w którym dowiadujemy się co powiedział człowiek pseudonim „Łódź” redaktorowi J. Grodzińskiemu

Tropiąc po śladach bursztynowej tajemnicy nie przeprowadziłem żadnej okazji, żadnego szczegółu, który dziś z pozoru błahy lub nieważny może w przyszłości stać się kluczem do rozwiązania zagadki.

Będąc w Olsztynie, zetknąłem się również z red. Grodzińskim, który odnalazł człowieka pseudonim „Łódź”. Człowiek ten mieszka w okolicy Pareżek w pobliżu granicy polsko-radzieckiej. Opowiedział on Grodzińskiemu o zaciekłych walkach przy zdobywaniu dzikowskiego pałacu.

Człowiek o pseudonimie „Łódź” jako żołnierz armii radzieckiej szedł w pierwszej linii natarcia. Jego oddział pięciokrotnie atakował pałac i za każdym razem zmuszony był się wycofać ze znacznymi stratami.

Odbywało się to w ten sposób, że gdy tylko zamilkł ogień niemieckich karabinów maszynowych, oddział radziecki podrywał się do ataku, zdo-

(Dokończenie na str. 6)



STANISŁAW
KASZYŃSKI



Na tropach egzotyki

Spotkania z jugosłowiańskimi studentami

rozsądku

Szukam w pamięci jakiejś sceny czy (ła, kolorów i dźwięków, które by ostrzej oddały specyfikę tamtych stosunków i ludzi, zwłaszcza młodzieży akademickiej. I dochodzę do wniosku, że coraz trudniej uchwycić smak i urodę egzotyki. No cóż, powiadam sobie, z egzotyki coraz trudniej, w tej chwili zaczyna się ona znacznie dalej na wschód i południe od kraju Słowian nad Dunaju. Bo też to, co dawniej określaliśmy Wschodem i Zachodem, zachowuje dziś jeszcze aktualność w sferze polityki, natomiast w zakresie obyczajów i kultur następuje nieuchronna unifikacja, stapianie się, wyrównywanie, stwarza się jakaś coraz mniej barwna plama, zacierają się źródła. Owszem, w kawiarni belgradzkiej można jeszcze zobaczyć chłopów w opankach (kierpeach) dekurających się kawą, a w starym Sarajewie spotyka się kobiety w szarawarach i mężczyźni z fezzami na głowach, ale robi się gorączkowo wszystko, żeby usunąć z pola widzenia i ze świadomości ślady tureckiego Balkanu.

W znacznie szybszym tempie przebiega ten proces zacierania śladów w pokoleniu młodej inteligencji, której o wiele łatwiej odrzucić choćby niektóre, nieco już żenujące tradycje. Łatwiej, co wcale nie znaczy, by studenci przywabiję masowo na uczelnie stolicy nie przynosili ze sobą balastu obyczajów i nawiązań swoich wiejskich środowisk, żyjących jeszcze pod

ciężem dawności. Uleganie żywiołowi miejskiemu, co musi pociągać za sobą stopniowe przyjmowanie innego modus vivendi, odrębnego stylu, nie odbywa się tak szybko jak u nas. Chłopak z polskiej wsi pragnie co prędzej wmieścić się w nowe otoczenie i barcznie zważa na to, by nie zdradzać swego rodowodu. W Jugosławii jest inaczej. Z pewną satysfakcją daje się do zrozumienia, że pochodzi się z takiej to a takiej dzielnicy, ba, wprost z dumą manifestuje się mieszanom swoja inność. Jeżeli ktoś np. wywodzi się z jakiegoś czarnogórskiego rodu, wówczas taka metryka nadaje mu znanie niewątpliwiej wyższości, chociaż najczęściej w jego własnych oczach, ponieważ i Serb i Chorwat i Macedończyk też nie wypadli sroce spod ogona. Złożyło się na to wiele przyczyn, przede wszystkim historycznych, tak że podobne przeświadczenia wynikające m. in. z silnego poczucia więzi plemiennej są w dalszym ciągu aktualne. Trzeba tu zrobić małe korekty. Otóż poczucie solidarności plemiennej może najbardziej zaimponować Czarnogórcy. Wiedzeni nieomylnym instynktem potrafili się np. wywyższyć w tłumie obcych. Byłem kiedyś świadkiem takiej prezentacji: jeden ze studentów pochodził ze znanej rodziny osiadłej pod szczytem Durmitorem, drugi z Cetinija, dawnej stolicy książęcej Czarnogóry, Musieli być z zacnych i godnych siebie rodów, bo tego sobie świadczyli. To tak mniej wie-

cej bywało u nas drzewie, w starych szlacheckich czasach. Zatem obyczaj, mocno zakorzenione, okazują się żywotne nad podział. Mogę natomiast powiedzieć na podstawie kilkuletnich obserwacji, że większość studentów jugosłowiańskich okazuje demonstracyjnie indyferentyzm w sprawach religijnych. Mimo to wielu z jakimiś namaszczeniem pielęgnuje dawne praktyki religijne, zresztą całkiem żywe wśród starszego społeczeństwa. Do takich należy parastos, obrzęd związany z kultem umarłych, bardzo przypominający uroczystość pogańskiej Litwy opisaną w mickiewiczowskich „Dziadach”. W określone dni zbiera się przy grobie ródzina, nakrywa się stół (wypożycza się go za jakąś opłatą w zarządzie cmentarza) i rozkłada wszelakie jadalne i napitki (koniecznie sliwowiec), po czym następuje zazwyczaj dość swobodna biesiada. Młodzi inteligenci, po prawdzie, zrymają się na ceremonie, ale znowu nie przyjdzie, nie wypadają (o parastosie zawiadamia się znajomych ogłoszeniem w prasie). Co jeszcze pozostało? Wyjątkowo rozmówienie w poczuj ludowej i w tańcach. „Naumianymi” cytarami lubią się bardzo chwalić, a na „igran-kach” bardzo chętnie tańczy się smętne „kolo” między rock and rollem i calypso, i,

doprawdy nikomu to nie przeszkadza. Byłem też świadkiem innej zabawy. Naprzeciwko domu studenckiego Cyganie muzulmańscy obchodzili uroczystość obrzezania dwóch potomków, oczywiście, męskich. Gości bawiła mała kapela, niesamowicie orientalna i fenomenalnie wytrzymała — grali bez przerwy cały dzień i noc. Melodie i rytmy były tak zniewalające, że raz po raz wchodził się w korowod taneczników którzy z studentów.

Wydaje mi się, że Jugosłowianie różnią się od naszych studentów silniejszym poczuciem konkretności. Są przede wszystkim namiętni praktyczni i rozsądni. Holdują dewizie, przynajmniej w większości wypadków, że trzeba zawsze robić to, co się opłaca i że studium należy dorobić, obojętnie w jaki sposób. Bo to każda robota uszlachetnia, o ile przynosić dinar. I słusznie! Malować? czemu nie! Roznosić mleko? Vaz! Nianiczyć dzieci? Warto spróbować. Ta gotowość do pracy jest z pewnością przykłądną, mówi też coś o sytuacji materialnej przeciętnego studenta, zresztą w każdej niemal szerokości geograficznej ten sympatyczny ludźk odczuwa tzw. płótno, nie rozwiązuje tej sprawy system stypendialny. Tutaj np. wiele stypendiów fundują zakłady

pracy. To jest bardzo popularna forma, która jednak tylko w pewnym stopniu decyduje o wyborze zawodu, ponieważ wiąże się z szeregiem zobowiązań; trzeba kilka lat siedzieć w jednym miejscu, zgodzić się na z góry ustalone stawki itp. Dlatego częściej wybiera się taki kierunek studiów, który by zapewnił później, po kilku trudnych latach „boków”, maksimum zarobków. Niekiedy, naturalnie, kalkulacja zawodzi, bo też nie zawsze można przewidzieć, że np. zlikwiduje się prywatną praktykę lekarską. Wybór „intra-trajniejszych” specjalizacji jest tu odrobnie łatwiejszy niż u nas, ponieważ nieomal nie ogranicza się napływu kandydatów na szereg wydziałów. Do niedawna nie było nawet egzaminów wstępnych. Np. na pierwszym roku (biologii angielskiej w Belgradzie) studiuje około 600 osób — sądzę, że na wszystkich uniwersytetach polskich nie doliczylibyśmy się tylu. O karierze życiowej zdaje się decydować nie osiągnięcie stanowisko czy praca w umiłowanym zawodzie, lecz wysokość gaży. Primum vivere, deinde philosophari, czyli nie ma czasu na medrkowanie. Taka jest typowa tendencja, taki wzorzec postępowania uważa się za zupełnie oczywisty — i nie ma co

rozdzierać szal. Podobne nastawienie pragmatystyczne dąłoby się, choć częściowo, wyjaśnić historią i strukturą tego społeczeństwa, które zazwyczaj w przeszłości tyłu bieda, a nie zakosziłowawczy w pełni słodczy kultury, pragnie od razu wskoczyć w wiek lodówki, praktyk elektrycznej i porządnego garnituru. O przeszłości się pamięta. Np. świadomość, że pokonano się trudności pierwszych lat odbudowy jest powszechna — studenci opowiadali mi z dumą, jak w ciężkich warunkach wznosili swoje piękne miasteczko uniwersyteckie w Belgradzie.

Może dlatego poznalem, stosunkowo mało młodych ludzi, których by oświecała perspektywa zawodu, dającego coś więcej niż pieniądze. Tak mi się zdaje, że nasi studenci bardziej interesują się zagadnieniami pozornie nieopłacalnymi i częściej dokonują wyboru swej kariery na innej zasadzie, stawiając na osobistą satysfakcję. Natomiast i ci i tamci mają identyczne zdanie co do pracy na prowincji. Uparczywie bronią się przed demonami miasteczek i wsi. Prawdopodobnie z łatwością uzgodniliby też wspólne poglądy na subtelny i cienki temat miłości. Ale któż sprawdza te rzeczy w teorii?

(Dokończenie ze str. 5)

bywał pałac, wówczas następowal kontratak nieprzyjaciela i znowu trzeba było chronić się odwrotem. Ta wściekła obrona Niemców zdumiewała, rzadzieckich dowódców. Obrona niemiecka wyginęła doszczętnie. Uratował się jedynie młody oficer SS przebrany w damski strój. Ale i jego schwytano. Znalaziono przy nim plany Dzikowa z zaznaczonymi na mapie czerwonymi punktami. Początkowo mimo gróźb nie chciał powiedzieć. Dopiero gdy poczuł na swej skroni zimną stal pistoletu oświadczył, że punkty czerwone na jego mapie sztabowej oznaczają plany losowideł.

Człowiek o pseudonimie „Łódź”, który brał czynny udział w przesłuchaniu w pewnej chwili odszedł na bok za swoją potrzebą i w tym momencie usłyszał silny wybuch. W miejscu, gdzie jeszcze przed paroma sekundami stała grupka żołnierzy widniał obecnie głęboki lej po bombie i zakrwawione szczątki ludzkie.

Rozdział szesnasty

w którym dowiadujemy się, że ślad prowadzi na wyspę Siedmiu Skarbow

Jak dziwnie krzyżują się drogi reporterów. Ubiegając się w zeszłym roku po małych, nadmorskich wioskach rybackich, za śladami skarbow Gdańska zawędrowałem w delcie Wisły do modrzewiowego dworku Foerstera. Owocem tej wyprawy był reportaż, który ukazał się w 33 (77) numerze „Odgłosów” pt. „Wyspa Siedmiu Skarbow”.

Cytuję fragment owego reportażu i niżej dla porównania podaję informację „Izwestii”, której wersję polską opracował R. Badowski:

„Jednego dnia w ciemnościach nocy przez prom na martwym ujściu Wisły koło Sobieszewa przedostała się tajemnicza kolumna samochodów pancernych. Przedtem oczyszczono dla bezpieczeństwa całą drogę od Gdańska do wyspy. Przy każdym kierowcy siedział wyższy oficer SS. Ciemne, zielone plandeki kryły tajemniczy i do dzisiaj niewyjaśniony ładunek.

Cel podróży kolumny? Środek wyspy w pobliżu modrzewiowego dworku gaulaitera. I to wszystko. Nikt więcej nie zna ani jednego szczegółu. Tyle wiedzieli nieliczni jeńcy, którzy mieli szczęście uciec z życiem z tego piekła i również nieliczni dziś żyjący tubylcy.

„Litwin A. Motutas zakomunikował komisji, iż w ostatnich tygod-

niach okupacji wybrzeży Bałtyku Niemcy zakopali na skraju Helu jakieś zabytki muzealne wywiezione z Królewca przez port Pillau. Tereny te były później przez Niemców silnie zaminowane, być może z mierzano zrabowane skarby wywieźć morzem do Niemiec, lecz statek na który załadowano skrzynie nie dotarł do portu przeznaczenia. Ślad ten zdaniem komisji radzieckiej musi jeszcze zostać dokładnie sprawdzony.

Komisja jest także w posiadaniu listu z Niemiec, którego autor był żołnierz Wehrmachtu Ernest N. również wspomina o transporcie skarbow wywiezionych w końcu lutego 1945 r. z Królewca do portu Pillau. Konwojentem skrzyń złożonych na 10—12 ciężarówkach była tajemnicza „Frau Doktor”. W pobliżu wioski Vierbrüderkrug kilka ciężarówek opróżniono, gdyż zaszła konieczność ewakuacji rannych. Wyladowane skrzynie zaryto w płytkiej kotłinie leśnej, którą Ernest N. podejmuje się wskazać. Komisja potraktowała list z Niemiec z całą powagą. Ernest N. zaproszony został do Kaliningradu.

Czy w miejscu, które wskaże b. żołnierz Wehrmachtu znalezione zostaną owe tajemnicze skrzynie?” (R. Badowski).

Rozdział siedemnasty

zakończenie

W tej opowieści autorowi nie tylko chodziło o odtworzenie zagadkowej historii bursztynowego dzieła. Z tym martwym przedmiotem splecione zostało życie wielu osób. Architekt Schluter, który zaprojektował komnatę wygnany został z kraju. Majster Gotfried Tusso realizator projektu Schlutera dokonał żywota w lochach więzienia, a 100 grenadierów rosyjskich ofiarowanych przez cara Fryderyka Wielkiego w rewanżu za komnatę nigdy nie ujrzalo swych rodzin i swej ojczyzny. A czyż tajemnicza śmierć małżonków Rhode nie jest związana z tym bezcennym a jakże fatalnym dziełem? Ta komnata-fatum zaważyła na życiu i losach wielu ludzi. Gdzie się dziś znajduje i czy zostanie odnaleziona trudno odpowiedzieć.

Tajemnica bursztynowej komnaty jest historią niezakończoną. Arcydzieło ręk i umysłowy ludzki zaginęło. Jedyną przyczyną była wojna, która niszczy nie tylko ludzkie życie, ale i wytwór talentu człowieka.

Koniec

KAROL BADZIAK



Wanda Jakubińska (Dama) i Edward Wichura (Król) w spektaklu pt. „Król w szafie”

MARK WAWRZKIEWICZ

ALBUM jednoaktówek

Ożeniono trzy sceniczne miniatury, wymyślono tytuł, ochrzczono po, albo może przed związkiem jeszcze rzec całą tym właśnie tytułem — „Album jednoaktówek” i na scenie, której pozycje za każdym razem zmuszają do refleksji, w różnych nastrojach, a w tych samych ściemnieniach i rozjaśnieniach światła, pokazano ją zdumionemu nieco widzowi. Kiedy już myśleć musimy, co wynika z wyluszczonego wyżej założenia i tak niewygodnej czasami roli warstwowego widza, zastanówmy się przy tej okazji, co powodowało realizatorami, że wpadli na pomysł takiego mariażu. Zostawmy na boku niegodne posądzenie, że teatrowi Dejmkowi brakuje sztuk na małą scenę. Umówmy się może, iż chciano nam w ogromnym skrócie dać obraz teatru: od „Sizyfa” z romantyczną poetycką prozą, kilkoma scenicznymi wątkami — miłością, polityką, patriotyzmem i akcentami społecznymi przez lżejsze-melodramatycznie spointowane „Kamila Arago” zaprowadzono nas do klasycyzmu, neoklasycyzmu i jeszcze najnowszej polskiej szkoły poetyckiej w „Królu w szafie” Jarosława Marka Rymkiewicza.

Debiut dramatyczny Stanisława Cat-Mackiewicza „Sizyf” jest montażem listów Zygmunta Krasińskiego. Wybór ich fragmentów już narzucał określone sytuacje sceniczne i wprowadzenie określonych osób. O ile jednak dialog, jego generacja, jego żywość i barwa i jego, tak daleka już dla naszych czasów, dla naszej poetyki, napsunoność jest tylko w części zasługą autora, o tyle sceniczna akcja należy już wyłącznie do niego. Trzeba od razu powiedzieć: jest ściśle przylegająca do tego co jako rzecz najważniejszą chciał Mackiewicz pokazać, do „cudnej czarownej muzyki słów tych listów”. Pięć postaci, a z nich przynajmniej trzy powszechnie znane — George Sand, Delfina Potocka i Zygmunt Krasiński — żyją na scenie własnym życiem. Każda z nich ma swój świat nieprzekraczalny i może nawet nie bardzo rozumiały

dla innych, każda swoim słowem tę odrębność demonstrowa. Maszyna konfliktów działa sprawnie, trybiki ściśle się zazębiają. Patrzymy na tę „komedijską”, jak ją autor nazwał, nie bez pewnej przyjemności, lecz i nieco z daleka — tak jak się patrzy na rzeczy stare, dziś już nieaktualne, ale takie o których wjemy, że były kiedyś ważne. Trzy miłości rozwiązują się. Poeta posłuszny rozkazom ojca jedzie żenić się z kimś, kto jego irracjonalnych bólów i uniesień nie rozumie, zostaje George Sand, ta pierwsza go kochająca, jest męska, pewnie przeżyje tę miłość, zakocha się jeszcze nieraz. Co się stanie z Delfiną Potocką tak dyskretną i wielkopańską nawet w cierpieniu, nie wiemy. Karbonariusz jest nieważny, to jest mała postać na scenie, niewielki człowiek w życiu. Autor nie pozostawia nam złudzeń, to zwykły złodziej, pewnie przed nadejściem nocy ucieknie z sypialni hrabiny, która go tam litościwie i przez kaprys schowała, zostawiamy ten wątek nierozwiązany.

„Dramacik” a może raczej „melodramacik” „Kamila Arago” zmusza do snucia nieco innych refleksji, refleksji już nie na temat tego scenicznego drobiazgu z zaskakująco płaskim, cikiwym zakończeniem, pola do popisu dla trójki aktorów. Zamyślenie wcale nieradosne budzi reakcja widowni. Fakt zrozumiały, że się podobają. Gładziutki tekst, miliony w ocenie dwóch prostytutek, z których jedna może sobie pozwolić na bezprzedmiotowy liryzm, zachwyty nad nocą i zapachem morza, druga zaś musi już szukać bardziej wyrażonych emocji, morderstw popełnianych przy pomocy strzykawki i jeszcze wspomnienia wielkiej miłości snute na tle muzyki Colatujacej z kasyna gry, to nie zmusza do myślenia, widz nie odwołuje się do Eizenholca, nie zastanawia się nad sensem i bezsenssem, patrzy i słucha, jest mu wygodnie, wie na co wydał pieniądze. Zasko-

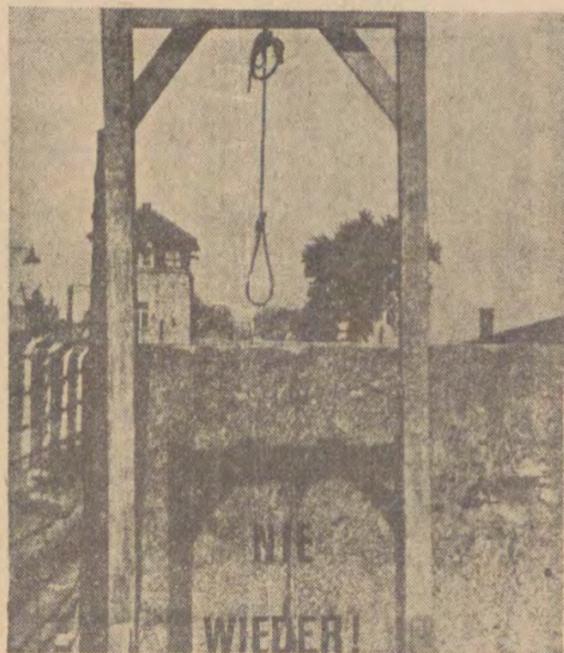
TADEUSZ PAPIER

Nagi człowiek i oprawcy

Sklonni jesteśmy powieścić: jeszcze jeden wstrząsający pamiętnik, jeszcze jedna pozycja literatury obozowej, świetna pozycja, chciałoby się streszczać rozdział po rozdziale, by chociaż w zwięzły sposób przypomnieć koszmar tamtych lat, wszystko jest w tej książce ważne. „Brama nie budziła przerażenia — pisał autor. — Ot, taka sobie niepozorna jakby małowartościowa. Nad wejściem półkolem z drutów napis: Arbeit macht frei.” Ale za bramą człowiek stawał się nagi, tu zabierano człowiekowi wstyd, stawał się podobny do zwierzęcia. „Jesteśmy numerami, numerami nie myślą, nie czują, nie mają wyobraźni”. Niekiedy mają na karcie personalnej ukośną pieczęć: „Zum Tode verurteilt”. Wszyscy mają ten wyrok wypisany w oczach, odcisnięty w duszy, o to przecież chodzi, aby ludzie nabrali przeświadczenia o nieuchronnym końcu, porzucicie nadzieję, za tą bramą nie ma nadziei, każdy, który przestąpił tę niepozorną bramę, przeznaczony jest śmierci, istnieje osiemdziesiąt sposobów wykańczania więźniów. Są „złe komanda” i „dobre komanda”, dobre komando wylamuje palce, w dobrym komandzie także gazuje się

starych i młodych, krematorium dymi „jakoś cienko i fantazyjnie”, muzulmanie czekają godzinami na zatłuszczony papier, którym była opakowana paczka żywnościowa, nikt nie dzieli się z muzulmanami zawartością paczki, każdy ratuje swoje życie, muzulmanin czeka na zatłuszczony papier, porwie go na strzępki i zje. To jest dobre komando, pisze autor, człowiek nagi, nie czuje wstydu, „dziś święto, orkiestra und Puff dazum”.

Mówimy: jeszcze jeden wstrząsający pamiętnik, ale to nie wszystko. Istotnie, Timofiejew był w Oświęcimiu, potem został przewieziony do Gusen, opisuje dni i noce w tym obozie, podaje nazwiska, ale autentyczność przeżyć nie przesądza jeszcze charakteru jego pracy. Książka Timofiejewa sięga znacznie głębiej, echa katastroficzne nie mają swojego źródła wyłącznie w doświadczeniach lub złym komandzie, rodowodu zbrodni nie ogranicza się do natury mordercy, to byłoby zbyt proste. „Człowiek jest nagi” stawia nas w obliczu zjawiska, który wypukła nie tylko tragizm ludzi za drutami, ale wyraża przede wszystkim tragizm całej epoki. Ten obóz z czajacą się zewsząd grozą śmierci, z chorobami ko-



częstego drutu, jest odbiciem szerszego świata, jego fotografia, jaki był ten świat, nie chce już pamiętać? Bo jakże to, powiada autor, dla więźnia ważne jest, jakie ma nad sobą komando, lepsze, czy zdegenerowane, ale patrzeć, nie tylko więźniowie stają się numerami, przede wszystkim są nimi członkowie komanda, są nimi ci, którzy rządzą z kolei komandami, wszyscy są numerami, wszyscy będą numerami, eksperyment, wychowawczy rozciąga się nie tylko na

obozy, nie pomija żadnej dziedziny życia, nawet szkoły nie pomija, obozy są ilustracjami tego systemu. W sierpniu 39 roku generałowie niemieccy usłyszeli słowa proroka, który przygotował na Wschodzie swoje oddziały Totenkopf, „rozkazując im zabijać bez miłosierdzia i litości mężczyzn, kobiety i dzieci polskiego pochodzenia i polskiej mowy”. Timofiejew demaskuje system, który zabija nie tylko obcych, ale i swoich, krematoria obozowa rodzą nowy typ życia, ludzie zamieniają się w bezduszne tryby, poruszające się tylko na określone hasła.

Literatura obozowa jest wstrząsająca, to fakt. Ale książkę Timofiejewa czyta się bez wycieńczenia. „Człowiek jest nagi” kończy się optymistycznie: droga do Polski otwarta. Lecz optymizm tej książki nie zasada się na „szczęśliwym zakończeniu”. Wbrew pozorom książka jest następną optymistycznym od pierwej do ostatniej strony. Optymizm jest tam, gdzie istnieje wiara w człowieka. Timofiejew pokazuje, jak w nagim człowieku, w numerze, nikt i nie nie zdołało zderzyć człowieczeństwa.

Grzegorz Timofiejew, Człowiek jest nagi, Wydawnictwo Łódzkie, 1960 rok, stron 353, cena zł 21.



Himmler w Gusen

nie pinta z wielokrotni tylko aplauz, tak, takie właśnie sztuki lubi się, na takie publiczność chce chodzić.

W zły czas trafili Jarosławie Marku, powroty przez sztukę, które każdemu z nas obce, są realne, są zrozumiałe dla dwóch, no, mo że dla dziesięciu widzów z jednego kompletu. Widzowie ci uwierzą, że ciała królów oddane zostały myślom (pamiętają wszak sens, czy wypadek Popieła), ale już racjonalnie, razem z myślamy są niezrozumiali, pewnie, wolałbyś, aby to połączenie widza oburzało. Widz się nie oburza, widz nie rozumie. Nie warto się zajmować tym, czego nie ma, nie wróć przeszłość, której symbolem jest król, nie ma królów choć są monarchiści, ale i oni piszą „Kamila Arago”. Tylko taka przeszłość jaka wraca w tym melodramaciku jest dla widza zrozumiała, realna. Ba, ona może się nawet wzruszyć. I to nie nie pomoże Jarosławie Marku, że krzyknijemy chórem „Nie chcemy Sizyfa”, nie chcemy „Kamila Arago”, warty jest ten chór, a poza tym kogo reprezentujemy? 190 widzów z jednego kompletu zagluszają nas przecież owacyjnymi brawami. My sobie możemy myśleć na użytek domowy...

Trudno mówić o „Królu w szafie” choćby tylko z tego względu, że dość bezwzględnie obeszli się z nim

realizatorzy. Skreślono ogromne partie tekstu w trosce o to aby widza nie znudzić, a bez troski o wierność oryginałowi, bez zrozumienia też chyba, że akcja jest tu tylko pretekstem do mówienia wiersza. Dla kompletu jeszcze rozminęto się z założeniem sztuki, którym jest przecież wprowadzenie na scenę poezji jako zdecydowanie najistotniejszego elementu sztuki, sztuki będącej zjawiskiem bez precedensu w naszej współczesnej dramaturgii. Prawda, że stworzono coś nowego, ale tego faktu w żadnym wypadku nie można użyć do ukomplementowania reżysera i inscenizatora.

Kiedy czytałem maszynopis „Króla w szafie” pomyślałem od razu, że rola Aleksandra napisana jest dla Konrada Laszewskiego, jeśli nie mógłby jej grać Gustaw Holoubek. Pomyślałem, że warto zająć się tym różnym do holoubkowskiego, ale w równym stopniu nowoczesnym aktorstwem, suchym, nerwowym, zastawiającym miejsce na refleksję więcej, zmuszającym do niej. Wyobrażam sobie Laszewskiego recytującego tak właśnie wiersz „Króla w szafie”. Zobaczyłem Laszewskiego nie rozumiałem dla mnie (wobec rutyny i potencjalnych możliwości tego aktora) zdenerwowanego, stremowanego, grającego ciągle na najwyższej nucie, mówiącego nie wiersz, a prozę. Czeka-

łem na najpiękniejszą dla mnie w tej sztuce metaforę „to myśł, garstka kurzu” i jeszcze raz się zawiodłem. To też powiedziiano prozą. Nie dociekam ile w tym wszystkim winy aktorów, a ile reżyserii — reżyserii mechanicznej, bez polotu, traktującej „Króla w szafie” jako rzecz która się dzieje na scenie. Jeśli to wina reżyserii to obroniła się rola Edyty (Danuta Mnińska), obroniła się pięknie Wanda Jakubińska jako Dama, wzruszając, młodzieńczo przejęta rolą, dająca pełny i niczym nieskażony jej kształt, ciągle jakby na scenie nieobecna, zapatrzona w swoją przeszłość.

Czy obroniła się sama sztuka, mimo stanowczo zbyt licznych aktorskich sypnięć, sufflera słyszalnego chyba w ostatnich rzędach, Józefa Pilarskiego czytającego tekst z kartki upozorowanej na pergaminowy rulon z królewską pieczęcią, i szalonowo już nowoczesnej scenografii Henryka Poulaina?

Chyba ilu widzów, tyle odpowiedzi. Dla mnie jej znakomitość i wyjątkowość jest zbyt oczywista, abym mógł powiedzieć: nie.

Wróćmy jeszcze na chwilę do aktorów. Jeszcze raz Konrad Laszewski tym razem w roli Zygmunta Krasińskiego. Rola mocno początkowo przerysowana z biegiem akcji nabiera auten-

tyczności z kulminacyjną, pięknie zagrana scena przed pożegnaniem. Jeszcze: zupełnie dla mnie rewelacyjna Hanna Bedryńska, aktorka, o której mało było dotąd słyhać, aktorka piękna i umiejąca swoją piękność demonstrować, mimo wielkopańskości ogromnie szczera i bezpośrednio. Jeszcze tegie majsterstwo Marjana Nowickiego w głównej roli Kamila Arago, bez cienia blagi scenicznej, proste jak każda wielkość.

Wieczór zaczęły romantyzmem kontynuowany przez przypominającą sztuki z lat trzydziestych „współczesność”, z mało w gruncie rzeczy nas interesującymi blahymi i melodramatycznymi problemami zakończono „Królem w szafie”. O którym już nie więcej — z winy teatru.

Państwowy Teatr Nowy — Mała Scena, „Album Jednoaktówek”: Stanisław Mackiewicz „Sizyf” i „Kamila Arago”, Jarosław Marek Rymkiewicz „Król w szafie”, Inszenizacja i reżyseria Jerzy Antczak, scenografia Henryk Poulain, kierownictwo artystyczne: Kazimierz Dejmk. Premiera 22 listopada 1960 r.

odpisy str. 7

MIASTO PO DWU STRONACH TORU



Kwiaciarka radomszczańskieho deptaka



Sródmieście Radomska

Dalszy ciąg ze str. 1

się w czasie wojny, a po wyzwoleniu wyjechali na Zachód, byle dalej od tych wspomnień. Porzucone działki braли nod uprawę chłopci, poprawiali zabudowania i dziś osiedle stoi w lepszym stanie niż na początku. Dwadzieścia pięć lat liczą siebie domki, jubileusz, którego nikt obchodzić nie będzie. W osiedlu zmieniło się to i owo, budują nową szkołę tuż naprzeciw starej drewnianej i pochylonej. Część ulic wysypano szlaką, ale pamięć lepiątek jest żywa jak dawniej.

Konofalski, to jest kowalowiecki oryginał. Posiadał, choć krępki, trochę wesołość, trochę poeta i kronikarz osiedla. Był bezrobotnym, jak inni co tu mieszkali, ale umiał pisać, bo go ojciec robotnik kierował na inteligenta. Chodził do magistratu i pisał ludziom podania. Kiedy powstało osiedle, prowadził meldunki, w czasie okupacji meldunki, po wojnie meldunki. Teraz jest na rencie, ale pióro zawsze leży przed nim na stole i w każdej chwili gotów jest do roboty. Na starość chciałby wypełnić jeszcze jedną kartotekę — opisać życie w tym osiedlu, dzień po dniu, od samego początku.

— Czy są zmiany? Proszę pana, tu się wszystko odwróciło, bo i powstaje całe osiedle żadnych murowańców, Nowy Kowalowiec. I sekretarz prezydium Miejskiej Rady tam zamieszkał i mój syn zamieszkał. I te podlotki, co to ich chuliganami nazywają, bo to sobie czasem wypiją i pośpiewają.

Wyszedł przed dom z laseczka i w czapce, żeby mu zdjęcie zrobić, a kiedyś się żegnali, powiedział jesz-

cze: — A najważniejsza rzecz jest ta, że teraz wszyscy mają robotę.

Nie on jeden tak myśli w Radomsku, po tej czy po tamtej stronie toru. Wszyscy ludzie przyłapani na ulicy, w parku, na dworcu kolejowym zaczynają sakramentalnie: — Za demokracją jest inaczej.

— Jak inaczej?

Od kilku minut drepnę z jakąś babką po rozmokłych alejkach miejscowego parku.

Tutaj, panie młody — mówi babcia — to było straszne bezrobocie. Jak kogo zwolnili, to już aby na zasilku i na zasiłku. Fabryki jeszcze nie stały, co dziś stoja. Mój stary, jak raz poszedł roboty szukać, to go zaraz złapali policjanci. Komunista, powiedział, jesteś, buntuj tutaj robisz. Całą marynarkę na nim podarli, poszływał ją potem. A była jeszcze zupełnie dobra. Zawsze to szkoda, taka marynarka.

— No, a gdzie mąż teraz pracuje? — przerywam jej.

— Gdzie on tera do pracy — śmieje się stara — jemu już dawno wieczne odpoczywanie. Chodzę do niego od czasu do czasu i kwiatki podlewam. Ale syn robi — dodaje zaraz — za technika jest i dostał zatrudnienie na „gigancie“.

Czeka jeszcze, czy o coś zapytam, a ponieważ miłcze, odwraca się i nagle widzę jak zgarbiona przecina park.

2.

Kawiarnia „Stylowa“, dwie niecuże skłki z fortepianem i podwyższeniem na orkiestrę i klub TWP, też dwie skłki

z bufetem ukrętem za kotarą. Nie są daleko od siebie, nie więcej niż 5 min. drogi. Spinają kłamra całe radomszczańskie życie kulturalne. Bo trudno liczyć tych kilka świetlic, jak choćby w Zakładach „Komuny Paryskiej“. Tam tylko od okazji do okazji. Prelegenci przyjadą i odjadą, a z agregatów wyjdą nowe zwoje drutu.

Do TWP ludzie chodzą gazetę poczytać, albo w brydża zagrać. Czasem, jak jest znane nazwisko. Wańkowicz choćby, to i jego przyjdą posłuchać. Ale nieznanym grozi śmierć cywilna, nikt ich w tym blisko trzydziestotysięcznym mieście nie zauważy. Może kierownik Wydz. Kultury, bo musi zapłacić. Zapłaci i też szczerliwy, że się pozbył kłopotu.

Co dwa tygodnie przyjeżdża z Łodzi plastyk, pani Trandowa, która prowadzi tutaj Ognisko Plastyczne. Ale poza tym miasto jest skazane na siebie. Nie powiem, robił się sporo. Istnieje sekcja literacka, która opiekuje się Wawrzyńczak, syn chłopca spod Radomska, a dziś autor książki „Zagubiona droga“. Są w niej młodzi i zdolni ludzie jak choćby Andrzej Kolas, uczeń liceum pedagogicznego i nauczyciel Roman Cielecki. Sekretarz propagandy KP tow. Fijałkowski Klub odwiezła, sam też pisze. Ale są to wszystko akcje doraźne, powołane przez miłośników tej czy innej muzy.

Kiedy przychodzę do Wydziału Kultury, kierowniczka przerzucając papiery, kończy śniadanie, a młody człowiek przy sąsiednim biurku, zatrudniony dopiero co do pracy w kulturze przygląda mi się uważnie.

— Najważniejsza jest sprawa Domu.

Dom Kultury w Radomsku to osobna historia, w 1957

roku wypuszczono cegiełki, mieszkańcy je wykupili i to był początek. Potem powiat podjął uchwałę, podatek od „litra“. „Butelkowe“ dało dalsze pięć milionów. Opracowano dokumentację Doma Kultury. Potem mieszkańcy w ogóle zwątpili czy Dom Kultury zostanie zbudowany. Podobno jednak ma stanąć, w sześćdziesiątym drugim roku zacznie się budować salę konferencyjną, teatralną, kawiarnię, czytelnię, szatnię i kino, drugie w Radomsku. Bo do tej pory nowe osiedla, nowe fabryki, tysiące nowych ludzi na jedno kino, kawiarnię i klub TWP.

3.

Nie wiem czy słusznie czynię, łącząc sprawę Basi Woch z orkiestrą symfoniczną, ale wydają mi się podobne — Basia Woch i amatorska orkiestra symfoniczna są pozbawieni jakiegokolwiek pomocy.

Ale najpierw dziewczyna. Przed wakacjami dostała telefon — „zamykamy Klub TWP na 2 miesiące, proszę zdać klucze i wycieczkę z inwentarza“. Prowadziła ten Klub blisko dwa lata, przyzwyczaiła się. Zrobiła jednak jak kazali. Przestała wychodzić po prelegentów na dworzec, organizować dla nich kolacje, zapowiadać i na zakończenie wręczać kwiaty. Prelegenci przecież nie przyjeżdżali.

We wrześniu Klub otwarto na nowo i nagle zobaczyła, że pracuje tam nowa kierowniczka. Kiedy pojechała do swoich władz, okazało się, że zwolniono ją na własne żądanie. Opinię przy tym dostała jak najlepszą. Najpierw wyjaśniła, że niczego nie żądała. A potem tak, zażądała, żeby jej chociaż wypłacono pensję, bo od blisko pół roku jakoś o tym zapomniano.

— Babska intryga — mó-

wią o sprawie Wochówny w amatorskiej orkiestrze symfonicznej.

Lecz czym się narażiła orkiestra, tego nie wiem. Skazano ją na próby w sali, której ściany są wilgotne jak gabka. 32 mężczyzn z Radomska i okolicznych wiosek zbiera się tu co parę dni i ćwiczy do koncertów — bezpłatnych, za dobre słowo, choć o nie najtrudniej. Więc ta jedyna w Polsce amatorska orkiestra symfoniczna jest kulą u nogi spółdzielni, która ją finansuje, a dyrekcja fabryki patrzy nieco podejrzanie na robotników, którzy chodzą na próby.

Był czas, że zbierali się prywatnie w mieszkaniach. Grali w Warszawie, dostali nagrodę, minister wpisał się do Złotej Księgi. Zaczął się niby lepszy okres, bo otrzymali salę. Ale wtedy właśnie zdecentralizowano budżet kulturalny związku. A ze spółdzielni już tak jest, że wola wycieczki, bo i popiół można po drodze. Tak się zaczęła niechęć.

Henryk Fajt i St. Malecki, to ludzie, którzy cały kłopot orkiestry wzięli na siebie. Jeżdżą, alarmują, próby się odbywają, ale skutków nie ma. Nawet kierownik miejscowego Wydz. Kultury do nich nie zajrzał i wszystko jest jak dawniej: pleśń na kontrabasie i zmarnowany entuzjazm.

A miasto się buduje. Co jakiś czas staje nowy blok i ludzie z drewniaków przenoszą się do niego. Do starych mieszkań natychmiast wprowadzają się ludzie ze wsi. Dostają zresztą zaraz potem mieszkania w blokach — drewniaki w każdej chwili grożą zawaleniem. Tak się odbywa pokojowa penetracja podradomszczańskiej wsi.

Penetracja ta byłaby uzasadniona, gdyby w Radomsku zbudować przetwórczo owocowo — warzywna. Prezydium zgłosiło propozycję do Zjednoczenia Przemysłu w Warszawie, które przysłało swego pracownika, panią Seligę. Po dwu dniach opinia została wydana: „Powolne tempo narastania baz surowcowych, ilustrowane przykładami, każe wnioskować, że budowa zakładu o proponowanej skali przerobowej jest niewskazana w okresie lat 1960—1970“.

Niby wszystko w porządku, gdyby nie taka drobnostka jak to, że wzrost bazy surowcowej może nastąpić równoległe z zapotrzebowaniem. Nikt nie będzie uprawiał na zmarnowanie. W ten sposób Radomsko zostało bez przetwórci, która stanie gdzieś w województwie kieleckim, a wiele osób dojeżdżających do Częstochowy, utraciło nadzieję dostania pracy na miejscu.

Tak, nie łatwe problemy do rozwiązania stają przed tym miastem zmienionym całkowicie po wojnie.

Przed miastem ruchliwym choć małym, od lat walczących o budowę drugiego kina i domu kultury. To miasto dowodzi, że i na prowincji są ludzie, którzy trzewo patrza w przyszłość i niepokojni są, czy córka będzie miała skąd pożyczyć książkę i czy będzie mogła chodzić do teatru. Niepokojni o Kowalowiec z listonistami drogami i jednym kioskiem „Ruchu“, w którym i tak leżą gazety.

A miasto się przecież buduje. Przyjeżdżają ludzie, wieś się jarzeniowe latarnie, tu i tam, tam i tu — po obu stronach toru

MAREK WAWRZKIEWICZ

Srodek

Pani Annie Pogonowskiej

Odpywającą wewnątrz niech smutek pożegną zdjęcie snu ręki dotknięciem i oddech tylko niewiele głębszy.

A płacz niech wstrzymany zostanie przez ciemność i niech zostanie wstrzymane wołanie by zostać na niewiadomej przecież powierzchni.

Bo dotrze ona do zalażka nitki i jeszcze do owocu albo dalej dotrze do dna, które jest sfalowane martwo.

Bo się rozegra jeden akt dramatu lub tylko jego fragment z akcją w centrum sceny albo się nie rozegra na środku niczego.

To już jest coś z klasyki Szekspira i lasu a las jest niepokojny i rosną w nim drzewa nagle preparat Szekspira i lasu powstaje.

Więc niech ona dopłynie do wewnątrz jest bowiem świadkiem wielkich miłości a także centrum akcji aktu dramatu lasu i Szekspira.



Nowy Kowalowiec

Tekst:
KONRAD
FREJDLICH

Zdjęcia:
E. BAWOROWSKI

Wyjechaliśmy o późnej godzinie i nie wiem, czy zauważyłaś, czy w ogóle w tamtych okolicznościach zdolna byłaś cokolwiek zauważać — że zaciemnione miasto zapowiadało noc oświetloną nadpromieniami. W zgęszczonych ciemnościach toczyły się niezliczone samochody z przysłoniętymi fioletowym celofanem reflektorami. Dokoła wyczuwało się bryły ślepych kamienic, opuszczonych gmachów. Dziecko spało na kolanach Józia, między nim a tobą siedziała najbardziej ze wszystkich podniecona Wanda. Ja wybrałem sobie miejsce obok kierowcy, który palił papierosa za papierosem i jego profil, oświetlony zmienną czerwienią, odcinał się na tle ultrafioletowych mroków. Efekt był tak ostry, że odrywając wzrok lub zamykając oczy (co w zasadzie niewiele zmieniało), dłuższy czas widziałem jeszcze zielony negatyw twarzy. Twarzy o napęczniałym pierścieniu otaczających usta mięśni przy płaskim czole i ponurym spojrzaniu. Ten człowiek, zdaje się, jedyny wśród nas wiedział dokładnie, co się w tej chwili dzieje i co należy robić. Mam wrażenie, że widział w tej otaczającej nas ciemności jeszcze coś więcej, z czego nie uważał za stosowne się zwierzać. Jeszcze jeden papieros zapalony od jarzącego się knota samochodowej zapalniczki, jeszcze kilka kliszowych zdjęć naświetlonych przez niewidzialne promienie, kierownica drży w spokojnych rękach i nawet w odrealnionych ciemnościach wszystko jest jasne.

Opowiadam o tym szczegółowo jedynie po to, żeby wydobyc główny motyw tamtych dni, lat. Jest to dla mnie bardzo istotne, jak później przekonasz się sama. Na razie powracam do wątku ucieczki. Na moście samochód włączył się do gęstego potoku maszyn. Stałowa rzeka wchłonęła nas. Odtąd kierunek nasz zależał od nas tyle, ile od ciałka krwi zależy kierunek jego obiegu w organizmie człowieka. Potok był ciężki, toczący się z przerwami, powolny. Zgrzytały hamulce, monotonna tętnił podskórny wałkot maszyn. Miałem uczucie, że z trudem wspinamy się do góry, na jakiś brzeg zawrotnego urwiska, skąd już stacają się ci, którzy nas wyprzedzili. I oddychałem z ulgą, kiedy żelazny ruch ustawał.

— Gdzie jesteśmy? — pytała Wanda. Stałiśmy w jednym miejscu już dłuższy czas. Kierowca wyrzucił papierosa i spoglądał w ciemność.

— Garwolin, niewykluczono — powiedział. A ja zapamiętałem na jaśniejącym z lekka tle sylwetkę dachu. Dziecko się obudziło z krzykiem: „Mama, siusiu!” Józio wylazł z samochodu, ale nie mógł wydość się z tłumy maszyn i wysadził chłopca tuż przy drzewkach.

— Tak — stwierdził obcym, bezbarwnym głosem z

zewnątrz — tu tablica. Garwolin.

— Prędzej — denerwowała się Wanda. — Wsiadajcie już!

Stałiśmy jeszcze jeden papieros kierowcy (była to jedyna wtedy miara czasu). Kiedy znów włączono motory, ukolysany ruchem, myślałem, że w mroku lepiej widzę nas wszystkich, niż w dzień, kiedy tyle rzeczy przeszkadza. Kierowca, Józio, Wanda nie stanowili dla mnie najmniejszej tajemnicy, jak to śpiące na kolanach ojca dziecko. Malarze pokojowi posługują się szablonem, który powtarza bez końca ten sam nieskomplikowany motyw. Widziałem więc podobne „wzory” wszystkich i tylko twego nie potrafiłem określić. A prze-

wóżnie, z której wyrwało mnie szarpnięcie. I znów stałiśmy. Czerni nocy już się załamała i kontury drzew i dachów fosforyzowały. Zaczęłam przyglądać się bielejącej teraz chałupie, nawet niechętnie odszukując znajomą skądś sytuację. Obok tkwił drogowy napis „Garwolin”. Po raz trzeci stałiśmy na tym samym miejscu. Było to tak ściśle splecione z półsennym stanem, że nie okazałem zdziwienia. Ale kierowca rzyknął z samochodu i rzucił na ziemię zgniecione, puste pudełko od papierosów („tyle benzyny nakołowaliśmy!” i pomyślowe przekleństwo). Z tyłu trąbiły już i ujadły klaksony.

A gdy odczekawszy na boku spłynięcia samochodo-

„Na ostatnich kroplach benzyny” dotarliśmy do murów nie dokończonej budowy szkoły, stojącej na odludziu, w sosnowym lasku. I oto kilka dni spędzonych na tej piaszczystej wysepce, ominiętej przez drogi ucieczek i szlaki bombowców. Parter zajmowali tacy jak my uchodźcy, spali na słomie rzuconej na podłogę pustych klas (Józio i Wanda skorzystali nawet z drewnianych łóżek, naszykowanych już dla kogoś z przyszłego personelu). Na tyłach gmachu, na wydeptanym placu stale krzątano się — zaimprowizowano tam coś w rodzaju połowej kuchni i był słup przeznaczony do gry w koszykówkę, na którym teraz wywieszano radiowe komunikaty. Ale dwa piętra ziały

Wyjął przechowywany w notesiku papierek, rozwinął go na dloni i przeczytał („słuchaj, to przekład z jakichś cegiełek z klinowym pismem”): „Jest wam dobrze wiadomo, że cały kraj wasz spotkała zagłada, którą szerzyły żelazne miecze Assura i jego bogowie. Został wypalony ogniem, stratowany kopytami bestii i leży obalony pod moją stopą” („i to nas właśnie czeka!”). I jeszcze: „Zniszczyłem moich wrogów, mieszkańców Elamu, którzy nie chcieli wejść do łona państwa asyryjskiego. Zostali oni ścięci, a jeśli komuś z nich darowałem życie, to kazałem wyciąć im wargi i przesiedliłem do Assuru...”

— W takich epokach — powiedział starannie zło-

ło się tu ludzi, którzy muszą przyciągnąć nieszczęście. Józio słuchał i przewracał się na swoim rozluźnionym łóżku, aż — opowiadał mi to nie bez akcentów wściekłego humoru — runęło i znalazł się na podłodze, zasypany zawartością sienika.

— Jeśli chodzi o mnie, zostalibyśmy tu do końca świata — powiedział. — Ale kto wie, kiedy ten koniec nastąpi. Może jutro...

Ja zaś najmniej przewidywałem w te pogodne, jesienne dni pod sosnami, że dążyliśmy do zagłady i zginęlibyśmy nieuchronnie, gdyby te same wypadki, które wciągnęły nas w przygodę wędrowni, nie przegrodziły nam drogi i nie odrzuciły z powrotem. W dniu kiedy wyruszyliśmy na wynajętym przez Józia chłopskim wozie, jeszcze raz przemierzylem na pożegnanie kępę piaszczystej wyspy. Myślałem, patrząc na sosny — wydawały mi się niebosiężne i wieczne — że udziałem tych potężnych roślin jest prawdziwa wielkość istnienia, gdy życie ludzkie jest zagrożone zewsząd i pełne lęku. Byłem przekonany, że opuszczając to miejsce, ulegamy jakby obłudowi. A kiedy po tygodniu wracaliśmy tą samą drogą, zobaczyliśmy na miejscu szkoły zgliszczą i kikuty sosen, przelamanych jak zapalki. Z piasku sterczała kupka nierównych, skleconych z gałęzi krzyży. To rzeczywiście było zbyt wymowne — leżelibyśmy w tych płytkich grobach, gdyby nie nasza wyprawa w stronę śmierci!

Stałiśmy zaskoczeni. Potem Józio poszedł szukać szczątków samochodu, ale nie znalazł nic: szopa, w której samochód był schowany razem z ich rzeczami, została zmieciona bez śladu. Pamiętasz, Wanda była przekonana, że uratowaliśmy się tylko dzięki niej, gdyż jej instynkt nakazywał stały ruch naprzód. A przecież to ona pierwszej nocy naszej ucieczki popędzając samochód dążyła bezwiednie do bombardowanego miejsca! Człowiek nie był mądrzejszy od kawałka drzazgi rzuconej do rzeki. Zawodził nie tylko instynkt, zawodził rozsądek, zawodził strach i bierność zawodziła także. Pozostawało albo powiedzieć sobie: koniec i tak nieunikniony, a wszystko inne i tak do niego prowadzi i nie ma po co nękać się nadzieją. Albo uwierzyć jednak w siłę życia i jeśli nawet zginąć, to w przeświadczeniu, że stało się to przez brak rozeznania w prawach przypadkowości, zaś każdą wygraną czy darowaną przygodę ze śmiercią traktować jako dydaktyczną krotechwilę.

Nie byłem w stanie prowadzić dyskusji na tematy apokaliptyczne. Patrząc przed siebie, gdzie niebieska mgiełka odległości oddzielała nas od niewidocznej linii Bugu. Józio wspominał o niej prawie jak o linii Maginota. Dla mnie była ona jednak linią mojej młodości. Korzystając z pauzy, zaczynałem namawiać Józia do dalszej z nami wędrowni. Nie miał żadnego celu, a Wanda dręczyła go po nocach, że ustroił szkołę kryje niebezpieczeństwo, że za dużo skupi-

Na piaszczystej

LEON GOMOLICKI



Fragment powieści p.t. „Uprowadzenie Baucis”, która ukaże się niedługo nakładem Wydawnictwa Łódzkiego.

wysepce



cięż byłaś najbliższa. Poczulem jak mnie to zaczyna niepokoić. Bałem się wyciągnąć rękę, żeby przekonać się dotykkiem, czy jesteś tu jeszcze. Obok, czy nadpromienie nie unicestwiły cię. Może dlatego uciekałaś mi, że widziałem nas już tam, w dawnych warunkach. Dlaczego dawnych? Tam też wszystko zapewne się zmieszało. Ale moja wyobraźnia potrafi pokonać przestrzeń, nie czas. To ty widziałaś zmienione twarze rodziców, bo oderwałaś się od tamtego świata o rok później niż ja.

Znów zazgrzytały hamulce, stanęliśmy.

— Gdzie jesteśmy? — zapytała Wanda.

Kierowca schował papierosa w pięści i wyjrzał. Sylwetka chałupy i drogowskiego wydała mi się podejrzana. Kierowca dla pewności otworzył drzwiczki i splunął na zewnątrz.

Stado maszyn znów ruszyło. Wyobrażałem sobie ich opływające kształty, przysadziste ciała, z paszczami spuszczonej do samej ziemi, jakby ostrożnie ją obwąchiwały. Zmęczenie podsuwało urwany wątek z szablonami, zamajaczyły tapecetowe martwe natury, syreny z rybimi ogonami, nakładające się na siebie wzorny namalowane na tafliach szkła. Ale zaledwie zacząłem się zastanawiać, zapadłem

wej maszy, wyjechaliśmy wreszcie na wolną drogę, zobaczyłem po bokach szosy księżycowy krajobraz. Zmorzona spałaś wtedy i nie widziałaś, a był właśnie księżycowy, bo dokoła ziały jeden przy drugim głębokie leje. I te drzewa splecione niby trzciniowe pręty, kadłuby spalonych samochodów, trupy koni, poszarpane papierki z jakiegoś ewakuowanego urzędu, rozsypane wielkie żółte jaja ręcznych granatów (to kierowca pociął nas, że to były granaty) i tuż obok zgubiony damski kapelusz i otwarta walizka. A nieco dalej to, co pozostaje po spalonym



domostwie: sterczący w niebo komin; szkielec żelaznego łóżka, na którym usiadł spłoszony kogut i patrzył w stronę świtu.

Co tu się stało, stało się kilkanaście minut przed nami i do tego właśnie było tak apieszno Wandzie.

* * *

Wychodziliśmy z nim i szliśmy do skraju sosnowych zarośli. Józio zdejmował buty i boso stapał po suchym igliwiu, kłującym czule jego stopy. Mógł godzinami siedzieć i patrzeć na te swoje stopy. Przy tym mówił, rozgryzając cierpkie igliwki, mówił nie tyle do mnie, co do samego siebie:

— Ten wczorajszy panikarz, którego posadzają o to, że jest dezertującym oficerem, prawil o zalewie średniowiecza, całopaleniu książek, procesach więdźm. Bzdura! Już za późno mówić o średniowieczu, bo to, co nadchodził, to coś bardzo starożytnego, to Nabuchodonozor, Assurbanipal. Czekał, zaraz ci pokażę, mam tu gdzieś przepisane...

Wszystkiemu co było bliżej samolotów. Obszedłem te piętra, ich długie, szerokie korytarze, nie oszkłone jeszcze okna, do których zaglądały z zewnątrz sosny. Kroki odbijały się w murach i przypominało mi to słowa pewnego przekładu, który czytaliśmy wieczorami, w domu twoich rodziców — o krokach komandora „huczących głucho po kornatach”. Chciałem cię tam przyprowadzić i powiedzieć to, ale tylko spojrzawszy na mnie roztrzęsiona. Na tomiasz te dni bardzo zbliżyły mnie do Józia.

Wszystkiemu co było bliżej samolotów. Obszedłem te piętra, ich długie, szerokie korytarze, nie oszkłone jeszcze okna, do których zaglądały z zewnątrz sosny. Kroki odbijały się w murach i przypominało mi to słowa pewnego przekładu, który czytaliśmy wieczorami, w domu twoich rodziców — o krokach komandora „huczących głucho po kornatach”. Chciałem cię tam przyprowadzić i powiedzieć to, ale tylko spojrzawszy na mnie roztrzęsiona. Na tomiasz te dni bardzo zbliżyły mnie do Józia.



JAROSŁAW MAREK RYMKIEWICZ

„Warszawianka“ w kraju Angielczyków

Teatr telewizyjny Łódzkiej zaprezentował nam, jak sądzi, z okazji 130 rocznicy Powstania Listopadowego, „Warszawiankę“ Stanisława Wyspiańskiego. Kazimierz Dejmek, który rzecz inscenizował, uczył rocznicę jak należy, pokazał nam więc autoportret Wyspiańskiego także kilka innych rzeczy tegoż malarza, to wszystko. Akcja jego (Dejmek) „Warszawianki“ nie miała wszakże wiele wspólnego z wypadkami 31 roku, rzecz działa się wszędzie, czyli nigdzie, może w Polsce, a może w kraju Angielczyków, może pod Grochovem, a może pod Verdun, a może pod Jerycho. Miejsce akcji nie zostało określone, wybór czasu akcji pozostawiono widzowi, popiersie Napoleona zastąpiono popiersiem pana X, być może więc, rzecz dzieje się w czasach przednapoleońskich.

Przekonanie, że dramat politycki może rozgrywać się zawsze i wszędzie, pozwala co prawda na lekkie wariacje, jest jednak raczej mylne. „Warszawianka“ rozgrywa się w określonym dniu, w oknach, pisze autor, widać... ogrody i miasto w śniegu; i śnieg, jak prózy, można też usłyszeć dalekie huk strzelów armatnich i zobaczyć na scenie generałów, oficerów, obywateli w strojach z roku 1830. Tyle autor, reżyser nie pokazał widzom ani obywateli, ani śniegu, nie usłyszeliśmy także kanonady i grania armat. Rozumiem Dejmka, w telewizji nie ma miejsca dla tłumy, a darcie waty na śnieg nie jest zajęciem dla artysty. W telewizji jest natomiast miejsce na drobne realia epoki, można było więc ocalić realia, rezygnując ze śniegu, dzień krwawy i chwaly nie musi być ostentacyjnie dniem śnieżnym. Trudno co prawda będzie wtedy powiedzieć, czy był to dzień krwi i chwaly Polaków, czy też innej nacji, nie czeplajmy nie, wszakże drobiazgowo, inscenizator nie interesował, jak napisałem, czas akcji „Warszawianki“, tak jak ją odczytał Dejmek, nie prezen-

tuje dramatu Polaków, prezentuje dramat wodza. Jest to wódz o wielkich ambicjach i małej wierze, postać w szerokiej płaszczyźnie, być może Chłopicki, ale nie na pewno, mundury jego generałów nie są wskazówką wystarczającą, jeśli bowiem nie pokazano nam portretów w strojach z roku 1810 i garniturów mebli białych pierwszego cesarstwa, to można było, bez szkody dla koncepcji reżyserskiej zmienić i król mundurów.

Wódz grał Wojciech Piłarski, rola godna jest na pewno pochwały. Piłarski, zasłuchany w siebie i w odgłosy niesłyszalnej kanonady, przeżywał równie głęboko dramat wodza i dramat dziesięciny. Reżyser nie mógł, niestety, nie na to poradzić, Piłarski grał postać historyczną, tylko w roku 1831, w czasie powstania Polaków, widywano wodzów, przeżywających tak boleśnie i szczerze tragedię narzeczonych swoich żołnierzy. Przesadzam, oczywiście, zdarzało się to także gdzieś indziej i kiedyś indziej, ale na pewno nie w XX wieku. Reżyser, powtarzam, był tutaj bezradny, pragnął rzecz odhistorycznić, usiłował trasę dzieła Marii (grała ją B. Horowianka) odrealnić i upoetyzować (tak zresztą, jak i całą sztukę). Ciekawszymi byłby zabieg odwrotny, polegający na odpoetyzowaniu i urealnieniu tekstu Wyspiańskiego, ale Chłopicki jest postacią historyczną i do historii, tylko do historii należy wódz, zaplatający w sprawę życia i śmierci swoich żołnierzy, i do historii należy dramat wodza o wielkich ambicjach i małej wierze, do historii, bowiem dramat naszego czasu, to dramat zbyt wielkiej wiary. Do historii należy też Pac i Skrzynecki, i do historii należy klawikordy i śnieg, i tiulowe firanki w oknach. Rzecz dzieje się 25 lutego 1831 roku, w trzecim dniu bitwy pod Grochovem, w dworku na przedmieściu, tylko wtedy i tylko tam. „Warszawianka“ jest dramatem historycznym, nie w niej nie można zmienić, ani zaktualizować, nie w niej nie da się odczytać na nowo, i na nie, bardzo mi

przykro, nie zdadza się w tym wypadku wszystkie chwytły (bardzo zresztą udatnie w inscenizacji Dejmka stosowane), którymi dysponuje telewizja: cięcia, wydobywanie szczegółów, ogrywanie rąk, oczu i ust aktora. Jest w tej pieśni z roku 1831 — i tylko z roku 1831 — kawałek historii i to, co nazywamy oddechem epiki, to wszystko, to dużo i mało zarazem. Nam, jak powiedział ktoś inny, nie zostawił Wyspiański pomocy.

Smętna niedziela

Niedziela 27 listopada była jedną z najsmętniejszych niedziel telewizyjnych na przestrzeni ostatnich miesięcy. Poza pasjonujący meczem koszykówki (ale to nie każdego zainteresuje) i ograny filmem „Do widzenia do jutra“ — nie było dosłownie niczego do obejrzenia.

Co prawda tygodnik „Radio i Telewizja“ zapowiadał na godzinę poranne blisko trzygodzinny program rozrywkowy z Berlina, ale gazety codzienne i nieubłagana rzeczywistość nie potwierdziły naszych nadziei. Oczywiście nie mamy pretensji do „Radia i Telewizji“ — sami „znamy ten ból“ i wiemy co to znaczy przygotowywać numer do druku z poważnym wyprzedzeniem — mamy natomiast pretensję do Telewizji. Jeżeli już z tych czy innych przyczyn koncert (bądź jego retransmisja) nie mógł dojść do skutku, trzeba było wypełnić powstałą lukę filmem, starą audycją z telerecordingu, czy czymś tam innym. Naprawdę takie jalone niedziele nie bawią absolutnie nikogo.

Sprawa Waltera

Wśród 30 listopada w cyklu „Wszyscy jesteśmy sędziami“ oglądaliśmy audycję pod tytułem „Dwuosiu gniewnych ludzi“ poświęconą słynnej sprawie Wallera (młody, wrażliwy człowiek wychowywany przez stryjka — na zewnątrz Don Juana, a wewnątrz cynicznego chłama — po dojściu do dojrzałości wstępuje w związek małżeński. Stryj uwodzi mu żonę — ten przyłapawszy ich na gorącym uczynku dokonuje za-

bójstwa i sam oddaje się w ręce władz).

Audycja pomyślana była na wzór rozprawy sądu przysięgłych i niewątpliwie zemocjonowała wszystkich słuchaczy; zemocjonowała i przerażała zarazem. Na miły Bóg nikt z nas nie chciałby zapewne zasiadać przed taką ławą przysięgłych, nikt nie chciałby się oddać w ręce tych właśnie ludzi. Gdyby nie piękne, humanistyczne przemówienie Jerzego Putramenta, który

broniał Waltera bronił jego podeptanej godności ludzkiej — zamknęlibyśmy telewizor przygnębieni oburzeniem bezdusznym charakterem rozprawy.

Swoją drogą jesteśmy ciekawi listownej reakcji widzów, sami bowiem znamy kilka osób, które dosłownie spisują „adresy dziękczynne“ dla Jerzego Putramenta. Czy więc treść listów, które niewątpliwie nadejdą, zostanie jakoś ujawniona?

Jesteśmy uparci czyli znów o balecie

Ha, trudno: jesteśmy uparci. Domagamy się od telewizji wprowadzenia baletu jako stałej poważnej pozycji programowej. Domagamy się audycji telewizyjnych — upowszechniających balet, jego zasady, historię itd. Domagamy się już ładnych parę miesięcy i jakoś echa nie widać na ekranach. Ha, trudno. Bądźmy uparci! Do upartych świat należy.

Druga strona medalu

Inwazja telewizorów

O naprawach telewizorów, o kłopotach z tym związanych pisaliśmy już nieraz. Dziś wracamy do tematu po to, by podać garść nowych informacji, informacji które powinny wnieść otuchę do serc udręczonych telewizorów.

Wzrost liczby odbiorników telewizyjnych, ich nie zawsze wysoka jakość techniczna i nieproporcjonalnie mała liczba punktów naprawczych — wszystko to składało się na zjawisko chaosu w dziedzinie obsługi technicznej odbiorników TV. W tej chwili warsztaty ZURT są przeciążone pracą. Na naprawę trzeba czekać nieraz dwa tygodnie i więcej. A co będzie w przyszłym roku gdy liczba odbiorników wzrośnie o 233 tysiące? A w 1965 gdy dojdzie już 400 tys. telewizorów w ciągu roku a na rynek będzie wychodziło ponad pół miliona aparatów różnych typów?

Wszystko to wymaga wzrostu sieci placówek dokonujących napraw gwarancyjnych, konserwacyjnych, oraz wszelkiego rodzaju napraw aparatów.

Informują nas, że w roku 1965 liczba placówek ZURT wzrośnie w kraju z 400 do 850. Przewiduje się, że dokonają one ponad 4 miliony napraw. Oczywiście nie wszystkie reperacje dokonywane będą w warsztatach. Planuje się znaczne zwiększenie liczby pracowników, którzy wyposażeni w przyrządy dokonywać będą napraw na miejscu, u użytkownika. To się chwali. Chwali się też pomysły wprowadzenia pewnej rejencji obsługi. Znacząco, że określona placówka opiekować się będzie odbiornikami na danym terenie miasta coś w rodzaju dawniejszego „lekarza domowego“, który znalazł na wylot wszystkie choroby swych pacjentów.

Mówimy tu o roku 1965, ale realizacja wspomnianych planów już się zaczęła. Napotyka ona oczywiście na trudności przede wszystkim w postaci braku lokali na pomieszczenie warsztatów. To bolączka pierwsza. W Łodzi wydaje się to dziwne. Wskazujemy więc na zamurowane od lat sklepy w blokach, wskazujemy na nowobudujące się osiedla gdzie bardziej potrzebny jest punkt naprawy telewizorów i radioodbiorników niż np. samoobsługowy sklep z odzieżą zimową: jeasionkami, kożuchami i futrami. Apelujemy o rozsądny podział lokali. Łatwiej znaleźć np. parę butów do szewca na piątą ulicę niż telewizor na drugą.

Bolączka druga to wciąż niedoskonały stan techniczny aparatów przechodzących do sprzedaży. W roku bieżącym na 200 tys. dokonanych napraw aż 47 tys. to naprawy wykonane przed sprzedażą telewizorów!

I trzecią bolączką jest stały brak części zamiennych — tak na rynku jak i w sieci wewnętrznego zaopatrzenia placówek ZURT. Na taką część, która jest produkowana w kraju trzeba nieraz czekać dwa trzy tygodnie, albo i miesiące.

To są bolączki do załatwienia. I załatwić je trzeba.

WIESŁAW MACHEJKO



Warto przeczytać

Państwowy Instytut Wydawniczy wydał ostatnio pozycję na którą od dawna oczekiwano. Jest to pierwsze powojenne wznowienie „Dziejów obyczajów w dawnej Polsce, Wiek XVI — XVIII“ Jana St. Bystronia.

Ambicją autora było ukazanie kroniki obyczajów dawnych wieków. Zamiar w pełni udany. Korzystając z dzieł dawnej literatury, celnie dobierając cytaty, stworzył Bystron kapitalne dzieło mające poza tym jeszcze jedną poważną zaletę. Jest

to bowiem książka „do czytania“, może ją wziąć do ręki również czytelnik stosunkowo mniej przygotowany. Ograniczona zaleta „Dziejów obyczajów“ jest również materiałem ilustracyjnym, częściowo wzięty z dawnych szybow i rysunków, częściowo przedstawiający zabytki przeszłości, obecnie w swej większości nie istniejące.

Słowem rarytas naprawdę rzadki. Dlatego cena 200 zł za oba tomy „Dziejów“ nie wydaje się nam zbyt wygórowana.

Goście w Łodzi

Tej wizyty nie sposób pominąć. Otóż kilka dni temu gościł w Łodzi światowej sławy uczonec, prezes Polskiej Akademii Nauk prof. dr Tadeusz Kotarbiński.

Prof. Kotarbiński przybył na zaproszenie Łódzkiego Oddziału Towarzystwa Naukowego Organizacji i Kierownictwa, by wygłosić odczyt pt. „O walorach dobrej planu“. Jak nietrudno zgadnąć sala WRN, gdzie

odczyt się odbył, była szalenie wypełniona.

Poza tym gościł w Łodzi na premierze swoich jednoaktówek ostatni polski monarchista Stanisław Cacki-Mackiewicz.

Na wspomnianej premierze czujnie oko przedstawiciela „Odgłosów“ dostrzegło również znanego naszym czytelnikom mistrza karykatury Andrzeja Stopkę.

Nareszcie!



Istnieje więc wreszcie „ciężar“ którego celem i zadaniem będzie (mamy nadzieję) walka z wszelką plastyczną szmيرًا.

My ze swej strony niebawem otworzymy znów nasze „odgłosowe“ muzeum brydoty — eksponatów bowiem nabierało się sporo.

Tym razem jednak sprostowane przez nas kwiatki polecać będziemy uwadze owej wysokiej Komisji i przestaniemy się wreszcie „czeplić“ referatu estetyki, która to instytucja i tak zresztą na uwagi „Odgłosów“ bestrosko gwizdała.

Kiermasz gwiazdkowy

Mamy obecnie w Łodzi przy ul. Orlej 4 trochę niecodzienną wystawę malarstwa, do obejrzenia której zachęcamy wszystkich. Dlaczego wystawa jest niecodzienna? Otóż autorem eksponowanych prac znanionujących naprawdę dużą kul-

ture plastyczną jest pracownik przedsiębiorstwa transportowego Tadeusz Bartczak. Ekspozycja zorganizowana została przy współudziale organizacji partyjnej przedsiębiorstwa w ramach „Kwartalu socjalistycznej kultury pracy“.

Warto obejrzyć

Choć ostatnio mieliśmy do PP. „Dom Książki“ niejaki pretensje, tym razem wszakże bijemy brawo. Bardzo bowiem podoba się nam pomysł zorganizowanego wspólnie z wydawnictwami („Nasza Księgarnia“, „Iskry“, „Wiedza Powszechna“) Gwiazdkowego Kiermaszu Książek Dziecięcych i Młodzieżowych.

Właśnie kilka dni temu kiermasz ów został uroczystie otwarty i przedstawicielom „Odgłosów“ dane



było ujrzeć istny książkowy raj. Dlatego chociaż kiermasz trwa aż do świąt, radzimy nie zwlekać. Idźcie koniecznie.

Redaguje Zespół * Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka“ * Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 86, Tel. 244-79. * Warunki prenumeraty: miesięcznie 4.— zł, kwartalnie 12.— zł. * Redakcja nie zamawiających rekopisów nie zwraca * Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe. Istnieje także PUPIK „Ruch“ — z zaznaczeniem na „Odgłosy“. Druk RSW „Prasa“ — Łódź, Zwirki 17 Z. 3708. XII. 60 R-4

„Mori-ezerio” czyli TYSIĄC RAZY DOBRZE

Zdaje się, że to było w sobotę Siedzieliśmy z Georgem na stadionie sportowym w Budapeszcie na meczu lekkoatletycznym Węgry — Finlandia. George jest młodym poetą, namletnie lubi sport i wino. Niedawno był w Polsce.

— Powiedz mi, co do tej pory zwiedziłeś w Budapeszcie? — zapytał niespodziewanie George.

W odpowiedzi pokazałem mu zapelniony notes. Zaczęłam wliczać gdzie byłam, co widziałam. A więc: byłem na operze „Cyganki”, na której podziwiałem naturalnej wielkości domy na scenie, byłem w teatrach, byłem na nudnym kabarecie w Budapest-Tanzpalotte, byłem w Telewizji, w Radio... Zwiedziłem muzea i zakłady pracy, obejrzałem ponad setkę pomników po obu stronach Dunaju, wysłuchałem kilku legend o powstaniu Węgrów. Byłem w knajpce na „Trzech granicach”, gdzie przyjeżdżają turyści z całego świata, by podziwiać

nocną panoramę jednego z najpiękniej położonych miast w Europie.

Jadłem rybą zupę z pięknie piekącą papryką, w specjalizującej się w tej dziedzinie restauracji, odwie działem czytelną polską na Vací Utca, gdzie w małej sali podziwiałem czterystu Węgrów pragnących koniecznie nauczyć się po polsku. Jeździłem podziemną kolejką w operetkowych wagonach, podziwiałem dyscyplinę społeczną i poszanowanie milicji obywatelskiej wysłuchałem anegdot o tym, jak golono publicznie młodych ludzi noszących brodki i o przygodzie pewnego Polaka, który także nosił brodę. Śmiałem się z dowcipu, jak to pewien rodak wziął wygalonowanego odzwierzęgo w Tanzpalotte — za generała. Odnotowałem wreszcie w moim notesie zabawne zdarzenie, jakie przeżył pewien przedstawiciel poważnej delegacji z kraju w lokalu rozrywkowym pod nazwą „Pipacz”, który wbrew

pozorem nie oznacza nic dwuznacznego. Pipacz — to po prostu — czerwony mak...

Niestety, to wszystko nie to — zawyrokował George. — A czy zabłądziłeś kiedy do owych małych pijalni wina, dokąd schodzi się po krętych schodach — a rozsianych nad brzegiem Dunaju? Jeżeli tam nie byłeś, wyjedź z mego pięknego miasta nie poznawszy tego, co jest w nim najbardziej urocze, a czego nie spotkasz ani u siebie w Łodzi, ani w Warszawie, ani w żadnym innym mieście.

Trzeba przyznać, że mój węgierski przyjaciel, znał swoje miasto nie gorzej niż Villon — Paryż...

Nie przypominam sobie nazwy ulicy — zbyt trudna jest do zapamiętania — gdzie znajdowała się jedna z owych zachwalanych przez Georga pijalni wina.

Piwnica przedstawiała nie mały filmowy scenariusz. Panował tu półmrok, nawet dwie lampy nie zdołały po-

prawić widoczności. W głębi stały trzy potężne beki oddzielone barierką. Wesołe głosy żądały wciąż nowych szklaneczek wina.

George fachowym spojrzeniem ocenia, że każdy z klientów tej winiarni ma w brzuchu co najmniej dwa litry boskiego płynu.

— Co panowie będą piili? — Mori-ezerio.

Tak więc w tej mrocznej piwniczce poznałem po raz pierwszy smak wina, które w języku polskim nazywa się — „tysiąc razy dobrze”.

Mori-ezerio wyrablane jest przez chłopów, właścicieli winnic w miejscowości Mor, położonej o sto dwadzieścia kilometrów od Budapesztu. Niebawem zostałem zaproszony do Mor na uroczystości związane z winobraniem.

Niedzielne popołudnie, mimo że była to już połowa października, było upalne. Nikt się tym jednak nie zrażał. Zwykle spokojna wieś nawiedzili górnicy z pobliskich kopalń i goście z Budapesztu. Ludzie o iden tycznym niemal wyrazie twarzy, jak w warszawskiej Telewizji, „kręcili temat” z winobraniem. Sprawozdawcy radiowi uwijali się z przenośnymi magnetofonami wśród ciżby. Jacyś reporterzy z gazet po raz tysięczny chwaliły wino Mori-ezerio.

Zaczyna się uroczysty pochód. Sprawozdawcy puszczają w ruch języki. Skrzypią reporterskie ołówki.

Czołówkę pochodu otwiera potężna beczka z winem, którą opasują żelazne obręcze. Beczka umocowana jest na wozie ciągniętym przez przystrojone bibułą i zielenią osiołki. Wokół beczki siedzi cygańska kapela. Na znak dyrygenta kładą się podbródki na skrzypcach. U lubiona melodia przenika przez tupot kopyt, zgłęk tłumu.

Nadjeżdżają nowe wozy z beczkami, w których znajduje się tegoroczne wino. Nie jest ono jeszcze tak dobre jak to, które można wypić w zaimprowizowanych bufetach na świeżym powietrzu, ani tak dobre jak to, które znajduje się w piwnicy matki Nagoes Inabel. Ona nie bierze udziału w wesołym pochodzie. Święto winobraniem obchodzi w własnej piwnicy, częstując gości winem z coraz to innej beczki.

Wino z piwniczki matki Inabel nie ma sobie równego i z pewnością dlatego na



drzwiach jej piwnicy umieszczono dyplom uznania — „Najlepsze wino w Mor”.

Iskrzy się wino w szklanych amforach. Setki rąk wnoszą kielichy do góry; a słońce jeszcze wysoko...

Wieś Mor leży w dolinie, otoczona niewielkimi górkami. Na jej zboczach ciągną się niekończące się winnice. Teraz widzę jak wązka ścieżka przedziera się na szczyt operator filmowy. Stąd rozciąga się urzekająca swym pięknem panorama. Może jutro albo pojutrze mieszkańcy Budapesztu i Warszawy będą oglądać święto winobraniem w Mor w „Kronice filmowej”.

— Serwus Miklos, serwus Zori, serwus! — za pomocą tego jednego słówka przechodzi się na „per ty”, ono zastępuje nasz tak celebrowany brudersaft. Tego dnia brudersaftów wypito bez liku.

— Serwus Kazimierz — woła przewodniczący gromadzkiej rady Kajzer, goszcząc mnie w swojej potężnej i zaopatrzonej w doskonałe wina piwnicy. Tu odbył się zresztą nieoficjalny kulminacyjny punkt uroczystości winobraniem w Mor. Na środku piwnicy należącej do Kajzera — ustawiono do góry dnem monstrualnych rozmiarów bekę. Miała ona zastąpić stół. Do czego po-

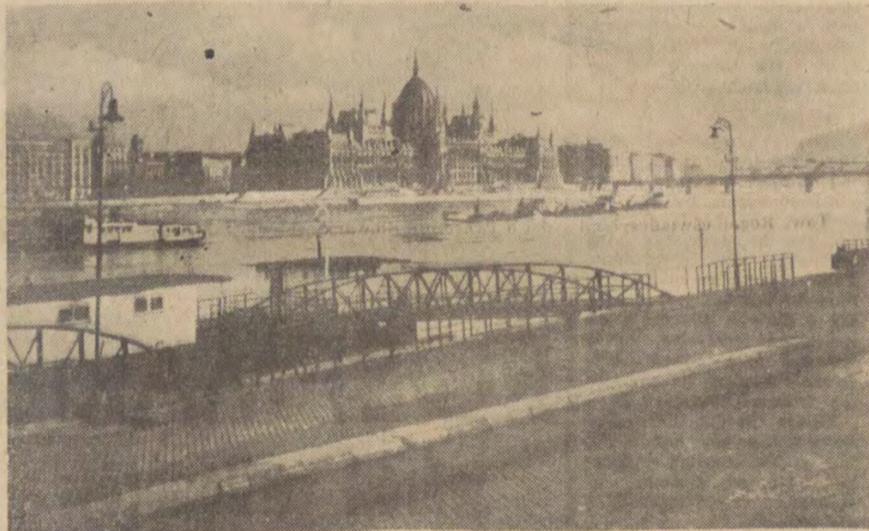
trebny jest aż takich rozmiarów stół — zorientowałem się, gdy zaczęto wносить przekąskę. Był to pieczony dzik i potężne bochny chleba. Gospodarz obficie częstował winem. Uczestniczyłem w jednym z najoryginalniejszych bankietów wydanych na cześć Święta Urodzajów.

Zapadał zmierzch. W piwnicy robło się coraz ciemniej. Jedyne w zagrzanych winem głowach jaśniało.

Mori-ezerio; Kto pierwszy raz nazwał wino pochodzące z wioski Mor — „tysiąc razy dobrze”? Tego nie udało mi się ustalić nawet w miejscowym muzeum winnym.

Nikt nie wie, kto pierwszy raz nazwał tak oryginalnie i trafnie wino, wprowadzające w doskonały humor ludzi nawet o najbardziej ponurym usposobieniu i przysparzające dowcipu tym którzy są go pozbawieni. Tego także nie wie mój przyjaciel George, który tak bardzo polubił małe pijalnie wina, mieszczące się w nadunajskiej dzielnicy Budapesztu, a do których wchodzi się krętymi schodami, gdzie wiszą ciemno palące się lampy i gdzie słyszy się tak często wesołe zawołanie:

— Proszę szklaneczkę Mori-ezerio — czyli — „tysiąc razy dobrze”.



Budapeszt

Najostrzejsze ołówki świata ■ Najostrzejsze ołówki świata ■ Najostrzejsze



Widzę, że na balu najbardziej podobają ci się sprzedawczynie papierosów...

Moja droga, jak przychodzisz na przyjęcie, to zabieraj ze sobą okulary — a dopiero potem rób sceny zazdrości...

Urzął się kompletnie. Przecież to jego własna żona

Mogło być gorzej...

IRVIN CAPLAN

Przez wiele lat Irvin Caplan był bliskim współpracownikiem Walta Disneya, pisał scenariusze, wymyślał gagi, projektował postaci i dekoracje do sławnych kreskówek. Praca popłatna, ale... nagle dająca zbyt wiele satysfakcji: nawiązywał do niego

podwładni twórcy Myszki Miki pozostawali zawsze w cieniu sławnego szefa, ich nazwiska nie publikowano w reklamach i czołówkach jego filmów. 10 lat temu Caplan wziął ostateczny rozstrzygnięcie z wytwórnią Disneya. postanowił pracować na wła-

sne ryzyko — i dla własnej sławy. Tylko już nie w filmie...

Rzecz ciekawa, w żartach Caplana nie dostrzegają zupełnie wpływu filmu rytmicznego. Dowcip oparty tu jest głównie na tekście podpisanym, formą tradycyj-

na, lecz uznawana i lubiana na całym świecie. Zresztą — wybrana przez Caplana tematyka nie stwarza zbyt wielu okazji do innych rozwiązań. Kobieta i mężczyzna — taki jest właśnie główny motyw zainteresowań naszego humorysty. A gdzie

tylko zjawi się kobieta, tam muszą paść jakieś słowa...

Swoich bohaterów wybiera Caplan w wyraźnie określonym środowisku „wyższych sfer”. Sporo tu przy tym, subtelnej, lecz dostrzegalnej ironii, adresowanej sprawiedliwie — do przedstawicieli obojga płci...

Caplan, stały współpracownik wielkiego magazynu ilustrowanego „Saturday Evening Post” — jest w życiu prywatnym bardzo szczęśliwym małżonkiem i ojcem trzech córek.

(Jert)

W OCZACH ZACHODU

Przywykliśmy do mierzenia sukcesów zagranicznych naszej kinematografii przez pryzmat statystyki wpływów dewizowych, którą skwapliwie publikują placówki eksportowe. W najlepszym wypadku czcimy się nas cytowaniem zdawkowych grzeczności obcej prasy. Jak jest jednak naprawdę, czy polskie filmy na zachodzie rzeczywiście są taką rewelacją? Oto zestawienie nieco odmiennych opinii, jakich u nas nie zwykło się cytować...

RED.

Utarło się mniemanie, iż nasza kinematografia traktowana jest za granicą niczym cudowne dziecko budzące powszechnie zachwyty i entuzjazm. No, bo nie tylko zbieramy festiwalowe laury, ale nawet Ameryka kupuje polskie filmy. Jednym słowem, oszalałymi sukcesy! Przed kilku laty powitano „nową falę” polskich filmów jako rewelację, stosując do nich cokolwiek ulgową taryfę. Polska okrzyknięta została artystyczną awangardą obozu socjalistycznego. Ale w miarę upływu czasu zauważono, że miast wyjść z naturalnego w początkowej fazie chaosu na szeroki gołębnie współczesnego filmu, kinematografia polska gubi się w mrocznych zaułkach rozmaitych „izmów”, na czele z dawno już zwietrzałym ekspresjonizmem i barokowym symbolizmem. Niektóre polskie filmy stanowią istną antologię przebrzmiałych stylów, antologię reminiscencji głośnych dzieł. Angielski krytyk J. Gillet na marginesie „Pociągu” i „Pożegnania” pisze: „niedawne przemiany zrodziły w Polsce żywiołowy pęd do eksperymentowania w dziedzinie stylów i technik, zrodziły nowy formalizm... Zamiatowane do efektów za wszelką cenę prowadzi nieśmiało do stanu stylistycznej anarchii, która może poważnie podminować osiągnięty już rzeczywisty postęp w tej materii”.

Inny zaś krytyk, Hill, stwierdza ironicznie: „Zważywszy krańcową sztuczność i dyktantyzm polskich filmów zadziwi „postęp” jaki poczynili Polacy na tej drodze od czasów „Pokolenia”. Barokowość i sztuczność to najczęściej spotykane zarzuty krytyki zachodniej, wymieniamy się tu np. „Popiół i diament”, „Pożegnania”, „Lotną” itd. Zarzuty tym groźniejsze, iż film prawdziwie nowoczesny zmierza dziś do jak największej prostoty, do przejrzystości formalnej, do poszukiwań idących w głąb materii filmowej, nie zaś do udziwniania i fałszywego ozdóbkarstwa.



Wspomniany już J. Gillet pisze: „Jest rzeczą widoczną, że film polski wyraża się w takich tematach jak rozczarowanie młodzieży, upadek starego reżimu, zamęt ideowy wywołany przez wojnę, nie wnosząc do nich nic rzeczywistego nowego”. A zatem i brak oryginalności... Nawet „Popiół i diament”, ten specyficznie polski dramat narodowy odczytany został jako jeszcze jedna wersja de-

nowskiego „nieprzystosowania się” dzisiejszego pokolenia (a właściwie już wczorajszego, bo Dean to też problem sprzed kilku lat). Ale u Wajdy „bunt bez przyczyny” staje się nieśzczera pozą, obliczoną na epatowanie widza: „Odnosimy wrażenie, że Wajda lubuje się w tym co przerażające, odpychające, ponure, że chce za wszelką cenę pokazać swą wielką smutną duszę... Cały film jest ponurym, placziwym rozkoszowaniem się niemowlęcą istnieniem w rozdartym, powojennym świecie... Świat Wajdy zalatuje symulacją, nieustanną pozą... Zauważmy, że autentyczny bunt „Pokolenia” przerodził się w nihilizm dla prowincjonalnych estetów”. (L. Marcovelles).

I jeszcze raz oddajmy głos J. Gilletowi, który przyznając Kawalerowiczowi wybitną dojrzałość artystyczną, umiejętność tworzenia klimatu i nastroju dodaje, iż „fabuła „Pociągu” jest właściwie banalna i nieoryginalna, przesłaknięta oparami kawiarnianego erotyzmu i źle przetrawionymi wpływami Zachodu”. Stąd też już tylko krok do stwierdzenia ubóstwa treści... Zarzut taki spotkał też „Lotną” oraz — rzecz znamienita — „Krzyżaków”.

Na ogół wszyscy pozytywnie oceniają walory filmu Forda, a zwłaszcza mistrzostwo warsztatowe w scenie bitwy grunwaldzkiej. Ale tzw. superprodukcje znajdują coraz mniejszy poklask w



świecie. Także i pod tym względem jesteśmy więc nieco spóźnieni. Oto co pisze na temat „Krzyżaków” krytyk awangardowych „Cahiers du Cinema”: „Temat, postacie, akcja i sytuacja tej epopei nie budzą żadnego zainteresowania ani nie posiadają żadnej wagi... To praca rzemieślnicza a nie artystyczna... Wprawdzie „Krzyżacy” są dziesięć razy lepsi niż „Austerlitz”, ale nie-

śledy trwają również 3 godziny” (L. Mollet). Recenzent „Films and Filming” dodaje iż mimo niewątpliwych walorów „film Forda jest nieudany ponieważ można by go skrócić o połowę, nie ujmując z jego isloty”. Francuski krytyk Chappier podnosząc doskonałość formy, „Krzyżaków” (zdjęcia, kolor) podkreśla, iż żalować wypada, że brak w filmie treści ideologicznej, która wypełniłaby tę formę. Film bowiem, zwłaszcza w pierwszej części jest pusty i stereotypowy. Wysiłek realizatorski Forda, zdaniem krytyka, nie idzie w parze z wysiłkiem myśliciela. Okazuje się więc, że polityczna treść i historiozofia „Krzyżaków” absolutnie nie dociera do widzów, którzy nie znają ani powieści Sienkiewicza ani naszej historii.

Włoska recenzja „Lofnej” świadczy, iż zagraniczny odbiorca traktuje film jako stek nonsensów nie znając jego historycznego podtekstu. Ogromnie traci „Zezowate szczęście” — polowa dowcipów jest niejadłana dla obcego widza Zresztą „Zezowate szczęście” mimo wielu zastrzeżeń, zostało przyjęte na Zachodzie a zwłaszcza w Anglii z przyjemnym zdziwieniem jako „coś odmiennego od ostatni” — ponurych polskich filmów Zdrowy to objaw, iż Polacy nareszcie potrafili spojrzeć z humorem na dzieje swego kraju”. Podobne zdziwienie wywołała również subtelna, poetycka „Cienkość” („Małych dramatów” („tak różnych od innych polskich filmów”).

Oczywiście, iż autorka niniejszych wywodów pozwoliła sobie pominąć cały szereg bardzo pochlebnych opinii na temat polskiej kinematografii. Może obawiając się, że więcej w nich sympatii niż szczerości... Fakt pozostaje faktem. Przeszliśmy być już rewelacją i dlatego zaczynają od nas więcej wymagać. Warto się nad tym zastanowić. Groźnie bowiem brzmią słowa francuskiego krytyka z „Cahiers du Cinema”, „Dokumentalny czy barokowy, film polski zajmuje wyłącznie honorowe miejsce w światowej kinematografii. I nic więcej”.

MARIA KORNATOWSKA

EKRANIK

GINA LOLLOBRIGIDA ukończyła w Hollywood zdjęcia do filmu „Idź nago w świat”. Tytuł — hm... ale znając purytanizm amerykańskiej cenzury — na pewno się za nim niewiele kryje...

pana Hulot. Scenariusz ma już gotowy, ale — jak zwykle tajemniczy — Tati nie zdradził reporterom francuskim żadnych szczegółów.

DONALD

„OGNIOMISTRZ KALEŃ” — to tytuł nowego filmu, realizowanego w zespole „STUDIO” przez Ewę i Czesławę Petelskich. Jest to adaptacja znanej i popularnej (dwa nakłady rozprzedane) powieści Jana Gerharda „Luna w Bieszczadach”. Tematem jej są walki z bandami UPA tuż po zakończeniu wojny. Scenariusz wysunął na pierwszy plan losy młodego artylerzysty, zmęczonego wojną uczestnika ostatecznej rozprawy z banderowcami. Trudną rolę — (w filmie prawie nie ma sceny bez udziału Kalenia) — powierzono znanemu aktorowi warszawskiemu, Wiesławowi Golasowi. Operatorem szerokoekranowego, lecz czarno-białego filmu jest Mieczysław Jahoda. Obecnie ekipa przebywa w Baligródzie, gdzie kręcone są zdjęcia plenerowe.

ZMARŁ MAX SENNET, mistrz gagowej komedii filmowej niemieckiej, reżyser pierwszych filmów Charlie Chaplina i Buster Keatona Sennet w chwili zgonu miał 30 lat, ostatni okres przeżył w domu emerytów w Kalifornii.

JACQUES TATI zamierza w najbliższym czasie rozpocząć zdjęcia do nowego filmu, kolejnej serii przygód

II Festiwal Filmów Krótkometrażowych



Z filmu „Świadkowie lodowej epoki” (Prod. WFO)



Z filmu lalkowego „Manguar”

W sobotę, 10 bm. rozpoczyna się II Festiwal Filmów Krótkometrażowych, organizowany przy współudziale Redakcji „Głosu Robotniczego”. W ciągu 8 dni w kinach „Adria” i „Tatry” będziemy mogli obejrzeć łącznie kilkadziesiąt najnowszych filmów oświatowych, animowanych i dokumentalnych. Innowacją jest podzielenie całego zestawu filmów festiwalowych do dwóch kin: w „Adrii” wyświetlane będą pozycje dla dorosłych, w „Tatrach” — repertuar dla dzieci. Szczęśliwy, pomysł!

Najliczniej reprezentowane będą na przeglądzie filmy oświatowe i animowane. WFO zaprezentuje widzom ok. 25 tytułów, tegorocznej, najnowszej produkcji, ze szczególnym uwzględnieniem problematyki technicznej. Filmy animowane — rysunkowe i kukielkowe pochodzą z trzech ośrodków produkcyjnych: łódzkiego, bielskiego oraz z warszawskiego Studia Miniatur.

Dokładne i obszernie omówienie filmów festiwalowych znajda Czytelnicy „Mieszanki” już w najbliższym numerze naszego pisma.

(JERT)

MIESZANKA
FILMOWA

MIESZANKA
FILMOWA

ROSEMARIE

wśród milionerów

Reżyser z NRF, Rolf Thiele wziął za temat swojego filmu historię głośnego niedyś morderstwa dokonanego na prostytutce Rosemarie Nitribitt, prosperującej wśród panów z czarnymi mercedesami i pakietami akcji wielkiego przynysłu. Mógł z tego powstać film, który byłby pamfletem na zachodniemiecki „wielki słodkiego życia”. Oczywiście nikt nie wymaga dzieła na miarę ostatniego filmu Federico Felliniego. Sądzić jednak należało, że brudne sprawy mafii wielkich przemysłowców zostaną ukazane bez operetkowego przymrużania oka. Tak się nie stało. Mafija posiadaczy pięknych kont bankowych potrafiła nie tylko zamordować kobietę posiadającą kompromitujące ich dokumenty, ale prawdopodobnie wyrzucić też nacisk na twórców filmu. Z całej cuchnącej sprawy pozostała tylko przyjemna dla oka powłoczka świata „cudotwórców gospodarczych”. Pozostał również jakiś bardzo ogólnikowy słaby i w ostatecznym rachunku — dwuznaczny ton potępienia — moralności operetkowych milionerów.

Zgrabna figurka kociaka w przejrzystych ciuchach, ta jennicie alkowy wielkiej kokoty — czynią ten pseudo-oskarżycielski film niewątpliwie atrakcyjnym dla mało wymagającego widza. A

bardziej krytycznych wyprowadzać ma w pole skądinąd dobra i melodyjna piosenka z brechtowskiej „Opery za trzy grosze”.

Tego rodzaju chwytły w kinematografii zachodniemieckiej, nie są dla nas niespodzianką. Wiele już bowiem widzieliśmy filmów NRF, gdzie sprytnie zabiegł scenarzysta i realizatorza przestawiają pospolite fałszowanie faktów i kontrabandę wrednej ideologii: „Dzieci, matki i general”, „Nocą, kiedy przychodzi diabeł”. W wypadku „Rosemarie” — zamiast demaskowania skandalu, mamy do czynienia ze „skandalizowaniem”, które stało się celem samym w sobie. Byłe nabić kasę...

Należy niestety przypuszczać, że zrzęcnym film Thielea „zrobi kasę także i w naszym kraju, my Polacy lubimy importowane błyskotki... Lu bia je także niektórzy recenzenci warszawscy: Leon Bukowiecki, ceniony specjalista od reklamy filmowej, stawia notę „pięć” w rubryce „10 gniewnych” tygodnika „Film”, bukiet zachwytych wręcz „Rosemarie”. Czesław Michalski w audycji „Muzyka i aktualności”.

Aż przykro, że tylko jeden sprawiedliwy Jackiewicz jest w Warszawie...

ALEKSANDER NIESMIALEK